

W KIELCACH.

Opowiadanie i uwagi o czasach szkolnych.

W KIELCACH.

Opowiadania i uwagi o czasach szkolnych

przez

Adolfa Dygasińskiego



WARSZAWA

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J. Sikorskiego Wawicka 14.

1899.



95920

K.158/19/102271

Profesorom
i kolegom Kielczanom

poświęcam te wspomnienia.

Profesorom

Kolegium Kielczanoni

I.

Szkoła wyższa realna w Kielcach! Niebawem będzie temu pół wieku. Przewodnicy szkoły, postaci posagowo-poważne, sztywnie, rozbudzali u żaków takie same uczucia, jakimi onego czasu natchnął był Gallów barbarzyńskich widok senatu rzymskiego. Dzisiaj już oni po największej części śpią w mogiłach snem nieprzespanym i tylko niektórzy—to tu, to tam—dociągają żywota w sędziwości późnej. Cześć popiołom, cześć starcom! Pracowali z wiarą i doznali zawodu, jak ludzie rzetelni; ale geniusz ludzkości po tych torach właśnie prowadzi dzieci swoje: każe im wierzyć, aby poznały wartość wątpienia. Z grona jakich trzydziestu, dziesiąty mąż zapewne nie ocalał. A ta młodzież, uczniowie, wychowañcy, których umysły oni zapładniali z zapalem swemi wyobrażeniami?.. O, losy dziwne rozrzuciły po świecie szerokim rój dziatwy wesołej, zgiełkliwej — młodzieńców dziarskich, pełnych życia i — wiary w życie! Wichura

zmiotła przedwcześnie połowę zastępu, zwała ich na pniu tak, jako burza gradowa zwała plon kłosów zielonych. Inni żyją, a jakby nie żyli, bo — gdzieś tam daleko, daleko. Z gromady całej jednego roku szkolnego chyba także dziesiąta głowa nie ostawała się na glebie. Ha, czas dziejowy przeskoczył ręczo przez nauczycieli i uczniów... Jeszcze kilką lat, a na ziemi tylko groby będą z tamtych ludzi. Któż wie, czy na mogile dziada wnuk jaki pamiętliwy bąknie jeszcze kiedy: „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!“ To my starzy dziś wzdychamy: Śpijcież dobrze, towarzysze młodości, zbratani z nami w marzeniach wiosny żywota. Oto zdążamy ku wam i nieraz już, nieudolni w słabości swojej, wołaliśmy grzesznie: „*O terque quaterque beati!*“ Rekrut do szkoły kieleckiej napływał z tej części kraju, za pępek której możnaby uważać miasto Jędrzejów, albo — wieś Kliszów. Spiechli malcy pod sztandary nauki od Będzina i Siewierza na zachodzie, od Bodzętyna, Rakowa i Staszowa na wschodzie; od Radoszyc i Wąchocka z północy, — od Opatowca, Nowego Brzeska i Olkusza z południa. Gromady zaciągu szkolnego pochodziły już z nad Wisły, która tu między Pobiednikiem a Połańcem trzyma się kierunku wschodniego, już z nad Nidy, Pilicy górnej, Przemszy Czarnej, Mierzawy, Szreniawy. Jeszcze inni przybywali z borów Łysogórskich, z małowniczych okolic wyżyny Olkuskiej.

„Myślę, więc jestem“ — powiedział Kartyzusz, a stary profesor Szymoński powtarzał zakom:

— Trzeba się bo nauczyć myśleć, zaczynając naukę myślenia od spostrzegania, gdzie jestem!.. Wać-

pan masz oczy, uszy, a nie patrzysz, nie słuchasz... O czym bo mości będziesz myślał? Z palca myśli godnych nie wyssiesz! Patrz waćpan na pocziwą ziemię, na zacne niebo, a twoja czaszka pusta wnet się zaroi myślami!

Oto rekruci szkoły już się zgromadzili w klasie pierwszej, liczba ich dochodzi do sześćdziesięciu. Nowicyusze — niezdarne to to, gamoniowate i gapiowate — są smutni, mają miny rzadkie: niejednemu łza pożegnania z matką jeszcze nie oschła na oku i żałość tkwi w sercu, coś jakby gwóźdź głęboko wbity. Jaki taki rozjaśnia się nareszcie i po przez łzy uśmiecha, myśląc: „Tu jednak jest dosyć przyjemnie“. Ale tkliwszych myśl uporczywa ciągle dręczy: „Co też tam moi porabiają teraz w domu?“ Za to weterani dragoletni, tak zwani „senatorowie“, junacy zuchwali, otrzaskani z życiem szkolnem, zachęcają przykładem żywym do hałasowania i figlowania w klasie. Właśnie jeden taki wykrzykuje namiętnie:

— Panowie, zróbmy serka w pierwszej ławie!

A oczy mu się świecą, policzki pałają szaleem swawoli i — choć to dopiero ranek — pot spływa z czoła. Ten się spracuje do wieczora!.. Oho, ława już trzeszczy: senatorowie wzięli między siebie malca słabego jak gąsienicę i gniotą zapalczywie! Pierwsza nauka uspołecznienia.

— Dalej panowie — ostro! Jeszcze lepiej, lepiej!

— Gwałtu, oj jej! Nie wytrzymam, jak mamę kocham!

Matki, więcej uczuciowe, krążą około gmachu szkolnego, chciałyby przeniknąć okiem grube mury, zobaczyć, jak ten i ów jedynaczek wygląda w roju.

— Mus taki delikatny! Chłopczysko jaki mniejszy może mi go pobić, sponiewierać...

— O, ja drzę o swego Zyzia — dziecko roztrącone... Gotów nie uważać, nie słyszeć, że do niego mówią: nie zjedna sobie profesorów już na pierwszych lekcjach i potem...

— Mój Siunio bo ma z ote serce i wszystko można z nim zrobić dobrocią, łagodnością; ale, kiedy się załęknie, traci głowę... Chcę to wytłómaczyć jego profesorom, żeby wiedzieli, jak prowadzić chłopca.

Do klasy pierwszej przyszedł najprzód pan inspektor — twarz bożka łąnego, a zimą i latem nosił na sobie szopy ogromnie wyiarte i na wielkim palcu prawej ręki zawieszał długi klucz od mieszkania. Rozkazał malcom wyjść z ławek, poczem według wzrostu dobierał, ustawiał ich w pary, a przytem szorstko przerzuczał, popychał różnych Musiów, Zyziów, Siuniów, jak gdyby to były rzeczy martwe, i nazywał już „śmierdzielami“, już — „smarkaczami, mazgajami.“

— Oni tu za nic mają człowieka!

Skończył czynność ustawiania i zapowiedział głosem bardzo surowym:

— Żeby mi każdy smarkacz do samego końca roku chadzał na mszę świętą w swojej porze! A jeśli który śmierdziuch zgubi parę, różeczka będzie w robocie!

Mówiąc to, uśmiechnął się jak szatan i wykonał ręką ruch naśladujący czynność smagania. Potem wysunął się na czoło i — niby wódz — prowadził do kościoła cały zastęp żaków ustawionych w pary.

— Tutaj niema widać żartów! — Myślał jeden, drugi, czując wyraźnie, że go kleszcze karności zaczynają ścisnąć.

Nabożeństwo odbywało się codziennie dla uczniów w kościółku świętej Trójcy i tu niejeden nieuk zanosił gorące modły, myśląc naiwnie, że siły wyższe wezmą w opiekę jego niedbalstwo, ocala go od niebezpieczeństwa różgi. Przy rozpoczęciu roku szkolnego ksiądz prefekt wygłosił bardzo piękną naukę o obowiązkach ucznia. Ten i ów nowicyusz usiłował skupić uwagę, słuchać, a nie mógł na żaden sposób. O, bo w głowie człowieka odbywają się niekiedy przedstawienia bardzo podobne do widowisk teatralnych i dzień wstąpienia do szkoły nadzwyczajnie sprzyja takim dramatom niepisanym! Od tej chwili zaczyna się kochać przeszłość. Podczas mszy świętej, kiedy człowiek jest w stopniu wyższym sam z sobą, dusza jego wyzwala się i niejako stawia przed oczyma obrazy przerozmaite. „Gniady o tej porze stoi przy żłobie, z za drabinki wyskubuje siano. Poczciwości, jak on się oglądał, ile razy z chlebem wszedłem do stajni i zawsze zarżał!... Obal, kochane psisko, co on tam porabia? Możliwy się założyć, że z ogonem podniesionym w górę obiega różne kąty, obwąchuje, szuka towarzysza zabawy... Franuś, nicpoń, z pewnością zepsuje mi tam łuk, złamie wędkę. Prosiłem mamy, żeby mu nie pozwalała tykać, ale...“

Wtem w głowie człowieka ukazuje się twarz ojca—surowa i wąsata—i mówi groźnie: „Pamiętaj sobie, żebyś mi w szkole nie zbijał bąków! Uważaj, słuchaj wszystkiego, co starsi mówią, bo...“ Człowiek skupia więc ducha, zwraca usilną uwagę na mowę księdza prefekta i znowu nie nie słyszy. „Ojcu się zdaje, że to łatwo... Na święta Bożego Narodzenia przyjedzie się do domu w mundurze, w czapce mundurowej—zupełnie co innego... Zabiorę z sobą piłkę, scyzoryk i ten nowy malowany piórnik... Będzie co opowiadać!... Czy to w domu ma kto pojęcie o tem, że tu w szkole niektórzy uczniowie noszą wasy prawie takie jak tatusz?“ Człowiek ma już dziś wiele do opowiadania o tem, jak jest w szkole i gotów jest przed swoimi wysławiać szkołę; ale w tej chwili — tęskno mu za domem i żal ściska serce. „Jak tam jest lubo, przyjemnie, na podwórku!.. Albo—w stajni między końmi!“ Każdy Muś, Zyzio, Siunio wyrzekłby się za to i manduru, i piórnika, i piłki, scyzoryka. Gdyby człowiek miał dziesięć głów na karku, to i tak nie pomieściłyby się w nich wszystkie takie i im podobne obrazy, myśli pierwszego dnia szkolnego, kiedy po raz pierwszy w życiu nazwano cię po nazwisku. Masz tobie, ksiądz prefekt już skończył naukę, a człowiek nie zapamiętał ani jednego słowa! Pan inspektor, w szopach, przeciska się do klasy pierwszej, najbliższej ołtarza wielkiego, znowu łączy w pary zaków i wyprowadza ich z kościoła przez szpaler między innymi klasami. Któryś trzecioklasista złośliwie podstawił nogę i jedna para nowicyuszów, mocno trzymających się za ręce, gruchnęła na ziemię, a para

następna zwała się na poprzednią. W kościele szmer najmniejszy urasta do rozgłosu i wszyscy spoglądają. Ci, którzy pierwsi upadli, otrzymali raz na zawsze przezwisko „para gajdusiów“ i potem tylko tak ich nazywano.

Jesteśmy w klasie — rejwach straszliwy. Nie wzięli do serca nauki księdza prefekta. Gwałtu, co się tu dzieje!.. Człowiek już jest śmielszy teraz: krzyczy, kiedy inni krzyczą; oddaje kulaka, jeśli go otrzymał. Szkoła działa. „Ho, ho, nasi także bić umieją! Czekaliśmy tylko na rzetelną zaczepkę.“ Przytem powstają znajomości i pierwsze stosunki przyjaźni wylanej zaczynają się zawiązywać: tworzą się pary z wyboru, z powinowactwa duchowego. Właśnie Pilades podbił oko Orestesowi, a Orestes wydarł sutą garść włosów z czupryny Piladesa. Nigdy niezapomniana chwilo!... To nic: oni się później polubią, powiedzą sobie: „Kochajmy się!“ Brutalny zwycięzca na pięści ulega nieraz pokonany przez serce. Kiedy się malcy biorą za czuby, wychodzi to częstokroć na trącanie się starszych kieliszkami. W bójce zucha zucha poznaje, ocenia i już wie, za co ma kochać.

Nagle wśród gwaru żactwa rozległ się głos dzwonka. Jacek, stróż szkolny, dzwonił. Chłop to ogromny o płowych włosach, złowrogo spoglądający z podęłba. Ten olbrzym chodził w granatowym kaftanie, w krótkich szarawarach z płótna szarego, a na nogach miał trepy, których kłapanie echem rozbrzmiewało w ciemnym korytarzu szkoły. Słyszac odgłosy owych chodaków drewnianych, niejednen potem

zblednie, zadrży i z sercem bijącym poszepnie: „Jacek idzie!“ Jacek był uosobieniem wszystkich tych zbójców strasznych, potworów, o których człowiekowi baby opowiadały w domu rodzicielskim historie przerażające: coś jakby jeden z dwunastu w „Powrocie Taty“. Bo każdy wie, że Jacek jest pomocnikiem do bicia, ręką prawą pana inspektora. I teraz też uczniowie drugoletni udzielają nowicyuszom zaraz na wstępie objaśnień użytecznych: „Jeżeli się kto nie chce dobrowolnie położyć na ławce, Jacek bierze go w łapy i rozciąga... Oo, trzeba się wystrzeżać, żeby nie dostać „na pokładankę“!.. Strasznie boli.“

Pst! Inspektor znowu wchodzi do klasy. Wzniósł do góry wielki palec z kluczem i krzyknął ostro:

— Cicho tam, niuchacze!

Stał na katedrze, białkami oczu gniewnych łypnął na klasę, grzmotnął w stół pięścią, rozłożył jakiś papier i przemówił głosem surowym, który do szpiku kości zmroził nowicyuszów:

— Wstać, żaby!

Cała klasa w oka mgnieniu porwała się na nogi, jak jeden. On teraz wodził oczyma tak jakoś dziwnie, że każdemu żakowi wydawało się, jak gdyby pan inspektor tylko na nim jednym wzrok zatrzymywał i jedynie o nim rozmyślał. Po tym przegładzie nastąpiło odczytywanie praw szkolnych. Pierwsi ludzie musieli się nadzwyczajnie zdumieć, kiedy prawodawca niespodziewanie odczytał im czarne na białem:

— Kto ukradnie osła, barana, służebnicę bliźniemu swemu, musi mu to wynagrodzić, a nadto odbierze karę stu kijów.

Nowicyusze z otwartymi ustami, z wytrzeszczonymi oczyma, nastawiali uszy i słuchali:

— Nie będziesz zbaczał z drogi, idąc do szkoły. Nie będziesz wychodził z domu, jak się tylko zmierzchnie. Nie będziesz na ulicy rozpinął guzików u munduru. Nie będziesz kurzył fajki...

Im dalej ku końcowi posuwało się dzieło wychowania, tem silniej budziły się w wychowawcach skłonności do przekraczania praw szkolnych. Zwierzchnicy szkolni mieli więc coraz więcej pracy z wymierzaniem kar za przestępstwa i odzywali się poważnie: „Jeśli nawet kary nie są hamulcem złego, cóżby to dopiero było przy bezkarności..“ Oj miewałże zacy pan inspektor ciężką pracę wychowawczą, napędzając od dołu rozumu do głowy! Częstość wypadła ochłostać i czterdziestu żaków dziennie, a każdego zupełnie odpowiednio do stopnia winy i ważności przekroczonego prawa. Dobry człowiek tak się był zaprawił do smagania dzieci różgą—jak mawiał—do „smarowania brzozy soczkiem cnoty“, że mimowolnie wykonywał ręką ruch przypominający czynność chłostania — ciach, ciach, ciach. Żył on bowiem niezłomną wiarę pedagoga, jakoby między hojnie szafowaną przezeń ilością różg a przyrostem wszelkich doskonałości ludzkich istniał niezaprzeczenie bardzo ścisły stosunek prosty. Każda różga, która dotkliwie podrażniła młodą, więc czułą skórę żaka,

stanowiła jednocześnie nową zachętę bądź do cnoty, bądź do wiedzy. Dodajmy do tego fanatyczny upór pedagoga, który nigdy nie odstępował od tak zwanych zasad, a zrozumiemy energiczną jaźń pana inspektora. Filip drugi onego czasu z takim samem przekonaniem palił był heretyków: czynił to dla ich własnego dobra: i z natchnienia wyższego. Inspektor odczytywał dzisiaj pierwszoklasistom prawa szkolne — namaszczony, ogromnie przejęty ważnością chwili i już przewidujący, że ci malcy niezawodnie będą usiłowali przekraczać te prawa. Uprzednio więc wpadał on w szlachetne oburzenie wychowawcy i miał taką postać, jak gdyby chciał zapobiegawczo oćwiczyć w tej chwili któregoś z przyszłych przestępców. Wytechnął bowiem należycie podczas wakacji i uczuwał w sobie nadmiar sił wychowawczych, które niezbędnie potrzebowały ujścia. Zapal pedagogiczny odbijał się aż nazbyt wyraźnie w jego głosie silnym, spojrzeńiach ognistych, nerwowych drganiach twarzy, ruchach ręki prawej. To wszystko udzielało się malcom mocą tajemniczej nici związku, która z duszy silnego przenosi groźbę surową, a po drodze przeobraża ją dziwnie i umysłem słabych oddaje trwogę. „Jak mamę kocham, nie będę tego robił!“ Przysięgał sobie w duszy ten i ów nowicyusz, a ciarki strachu nawskroś go przejmowały. Dobrze się pamięta prawa wbite w pamięć przy takim nastroju duchowym, wyłączającym wszelką krytykę! Kto potem dopuści się przestępstwa i otrzyma karę, ma w sobie świadomość winy i - sprawiedliwości odebranej kary. Chwałaż Bogu, skończył nareszcie z temi prawami! Skoń-

czył i spogląda wzrokiem jastrzębia... Bo już właśnie ogłosił prawa, wprowadził je w działanie i w chwili tak uroczystej może je przekraczać jak zuchwały przestępca. Niech noby spostrzeżł mundur niezapięty na wszystkie guziki, albo nawet — dwuznaczny półuśmiech, wyraz twarzy dający władzy szkolnej do myślenia! Ociągał się z wyjściem, laził między ławkami. Szturchnął jednego żaka pod brodę: w ten sposób wyprostował mu głowę zwieszoną na piersi. „Do góry nos!“ Innego trzepnął grubemi paluchami po łapach na znak, że trzeba opuścić i przy sobie trzymać ręce, kiedy się stoi frontowo. Człowiek ze strachu miał słodką ślinę w ustach, a wzdłuż kolumny pacierzowej uczuwał ciepło. No wyszedł, przecież! Wszyscy odetchnęli, zaczęli rozmawiać cicho, potem głośniej, coraz głośniej i jeszcze głośniej. Życie, powstrzymane na chwilę w energii, usiłowalo wynagrodzić sobie zastój. Dobry pan inspektor! On tak szczerze, niewzruszenie wierzył w swój systemat wychowawczy „soczku brzoźowego“. Z kolei wchodzi do klasy pan Szymoński, nauczyciel matematyki. Jest to już pedagog w stylu daleko, daleko wznioślejszym. Niziutki, nikły, w okularach na końcu nosa, z twarzą przypominającą wizerunek Lelewela w starości. Resztki rzadkich siwych włosów, zgarnięte na łysinę, aby ją zasłonić, powiewają w kosmykach ponad uchem. Stąpa z góry, idzie kroczeniem drobniutkim, niesie pod pachą dziennik, trzyma w ręce tabakierkę i chustkę do nosa czerwona. We fraku granatowym z guzami złośliwymi, trochę zaniedbany, niedogolony, z piętnami



barwy kawowej na gorsie koszuli—od tabaki. Niema dziś wcale na świecie takich ludzi—filozofów w maskach dziwaków, gruntownie zaonych, a występujących w rolach podejrzanych. Położył dziennik na stole katedry, zbliżył się do pierwszego lepszego nowicyuszów i zapytał:

— Co zacc jest mości?

— Oleś Puszewski!—odpowiedział mały z pośpiechem, kraśniejac przytem jak mak polny.

— Wstań-że!—podpowiadali natarczywie uczniowie drugoletni, nauczając nowicyusza, że nie powinien siedzieć w ławce, kiedy profesor przemawia do niego. Żaczek powstał, a Szymoński spoglądał mu w oczy i mówił:

— Waćpan bo wiedz raz na zawsze, że „zkąd pochodzisz“ znaczy więcej niż „jak się nazywasz“. Berbec taki, choć wystrzyżony i w czerwonym kołnierzu, nie uzacnia sobą kraju; ale kraj uzacnia smaracza, wytrzeszczaka... Francuz rozdziawi gębę, gdy mu powiesz „jestem Puszewski“. Ty mu powiedz „jestem Polak“, a zdejmie kapelusz, ukloni się przed Polakiem... Mnie zaś, Polakowi, i innym Polakom powinieneś waćpan powiedzieć wyraźnie, z których okolic Polski pochodzisz; bo to cię zaleca“.

— Z Olkusza!—odrzekł chłopiec z zadowoleniem.

— Bardzo pięknie, chlubnie! Ludzie zaccni rozdzielili się w Olkuszu... Znamy godnego magistrą, Marcina z Olkusza... Widzisz bo waćpan, dawniejsi ludzie w Polsce szczylicili się miejscem swego urodzenia: Grzegorz z Sanoka, Jan z Wiślicy, Michał

z Wrocławia, Miechowita—prawda?... Pozwalam obwieścić z góry nazwisko, jeśli mości nazywa się Kopernik, gdyż Kopernik znaczy więcej niż Polak: człowiek wielki, jeden na świat cały. Waćpan bo skromniuchno ogłaszaj mi swoje nazwisko: Jestem Olkuszanie, zowią się Puszewski!

Stukał palcami w tabakierkę, zażył sporą szczyptę tabaki i ciągnął dalej:

— A znasz-że ty, mości Olkuszanie, Babę? Malec zaczerwienił się po same uszy i bardzo nieśmiało wybąkał pytanie:

— Którą?...

— Mości panie, jedna tylko Baba jest pod Olkuszem, ta, która zalała sławne niegdyś olkuskie kąpalnie srebra! Waćpan, widzę bo nie słyssał o rzecze Babie i myśli, że go zapytują o babę w spodnicy.

Koledzy—rzecz prosta—w lot pochwycili sposobność i przydomek „Baba“ przylgnął do Puszewskiego. Chłopczyną zmieszany wyl się w ławce jak piskorz, a Szymoński znowu począł:

— Baba, choć tak szkodliwa, jestto strumyk mały, znika w piaskach, a waćpan upatrujesz może na świecie rzeczy wielkich i pewnie znasz ruiny okazałe zamku na Rabsztynie—prawda?

— Na Rabsztynie?—jęknął Oleś przerażony i zamilkł. Trzeba zaś wiedzieć, że Szymoński przesładował zawzięcie ów sposób odpowiedzi wielu próżniaków, polegający na bezmyślnem powtarzaniu ostatnich słów nauczyciela i będący tylko echem jego pytania. Więc teraz uderzył gwałtownie w tabakierkę, wołając:

— Mości he, he jest ciemny jak tabaka w roguł Cielątko bo z Olkusza przysłali do szkoły... Ooo, pracować w pocie czoła trzeba, żeby nam tu waćpan nie wyrósł na wołu!

Jakiś inny nowicyusz, pochodzący z pod Olsztyna, uszczęśliwił za to profesora swemi wiadomościami o dziejach zamku olsztyńskiego i o grocie stalaktytowej, położonej tamże w lasach pobliskich. „Chlubnie bo godni waćpaństwo rodzice wychowywali synka w domku. Nie zróbże mości w szkole zawodu miłości rodzicielskiej“. Teraz zaprosił do tablicy żaka pulchnego, pucolowatego, który się wywodził z pod Proszowic.

— Ujmij waćpan mocno kredę w rękę, masz widzę siły dobre! Napisz mi sto jedenaście i wyjaśnij mądrze, co tu każda jedność znaczy! Malec napisał liczbę, a nie miał pojęcia, w jakim stosunku te trzy jedności pozostają między sobą i profesor musiał mu to tłumaczyć:

— Wiedz mości, że wartość liczby, jak najczęściej i wartość człowieka, zależy od miejsca! Na miejscu najniższym jest jedność prosta, na miejscu wyższym—jedność dziesięć razy większa, a na miejscu jeszcze wyższym — jedność sto razy większa. Ale człowiek na miejscu wysokim bywa nieraz sto razy głupszy od tego, który zajmuje miejsce najniższe. Taki głupiec w matematyce należy do ułamków i jest jedną setną człowieka; a im jest głupszy, tem bardziej zbliża się do zera—prawda? Zażył tabaki i zdawał się przez chwilę myśleć o tem, co powiedział; potem zaczął przymawiać żakowi:

— Proszę bo, jak mi się taki waćpan wypasł na ślicznych kluskach pszenicznych! A ziemia pocziwa proszowska co ma za to, że utuczyla tłustego pędraka? Czy mości Proszowianin wie, że zacny gospodarz zwraca ziemi wysaną przez siebie z niej żywność?... Waćpan bo wyciągnął z gleby urodzajnej blisko sto funtów sadelka dla siebie, a — niewdzięcznik obrzydły — nie myśli, widzę, oddać jej ani łuta rozumu.

Chłopiec miał minę obrażonego, zabolaly go te przycinki, zwłaszcza, że koledzy zaczęli się z ławek szyderczo odzywać: „Sadelko! Sadelko!“ Odał więc wargi i mruknął coś pod nosem. Szymoński spojrział nań zukosa, pochłonął szczyptę tabaki, potem rzekł:

— Mości o swoim miejscu nie wie i o miejscu liczb również! Pasorzyt bo, proszę patrzeć, okazały, w dobrej spiżarni wychowany! Tył, tył i utył, a nauczył się tylko jednej obraźliwości. Szkoła oduczy waćpana fochów, a nauczy matematyki... Na pierwszej lekcyi uklękniij tymczasem dla nauki własnej! Spokorniejesz mi godnie, mości, niżysz się na ziemi.

Przejdźmy teraz do klasy drugiej i zobaczymy, co się tam dzieje w tym samym czasie. Na katedrze siedzi profesor Bożykowski, szczupły jak trzaseczka, wygolony, starannie ubrany, liczy pewnie lat jakie pięćdziesiąt, o rysach twarzy szlachetnych, ale skrzywionych — wyrażających niezadowolnienie, gniew czy urazę do świata. Jest to nauczyciel zoologii i botaniki, a oprócz tego w klasie piątej wykłada zasady

mechaniki. Odbywa się właśnie pierwsza lekcya zoologii, podczas której pan profesor poznaje swoich uczniów, a od czasu do czasu rzuca im jakiś rys, charakteryzujący naukę przezeń wykładaną. Przemawia on z mocnym naciskiem, głosem skrzeczącym, jakby gniewnym, a na niektórych wyrazach się zatrzymuje, chodzi mu może o to, aby na pewne pojęcia zwrócił uwagę słuchaczy. W całym sposobie zachowania się pedagoga przebijała opryskliwość, szorstkość. — Zadaniem zoologa — mówił — jest poznawać organizmy zwierząt i sposób ich życia. Podobne zadanie ma botanik, którego przedmiotem badania są znowu ustroje zwane pospolicie roślinami. Tylko proszę sobie nie myśleć, że się tu dowiecie, jakie krowy dają najwięcej mleka i które woły są najlepsze na opasy... Zoolog i botanik mają za cel poznanie żywych dzieł stworzenia na naszej planecie, a tem samem wnikają oni w te wielkie plany, podług których Stwórca rozsiał życie po ziemi. Poznawanie więc zwierząt i roślin, jako dzieł bożych, jest poznawaniem Boga w jego wszechmocności twórczej. Zatrzymał się, odrzucił głowę w tył, spojrział gniewnie w kierunku uczniów i zapytał:

— Jak się nazywa ten człowiek, pierwszy z brzegu w drugiej ławce na prawo?

— Kapuszewski! Kapuszewski! Huknęło chuknęło chórem z dziesięć głosów w różnych ławkach.

— Kapuszewski niech wie, że mi się nie podoba jego fizyonomia!... Nie lubię takich ludzi, którzy się podpierają na łokciach i ziewają. Mówiąc to,

ruchem szybkim i ze wstrętem odwrócił głowę w stronę przeciwną, poczem dodał: — Zbawiciel świata wypędził z ludzi sprośnych szatanów lenistwa, a pozwolił im opętać bestye gruboskórne... Siadaj, Kapuszewski! Nienawidzę człowieka, którego grzechem pierworodnym jest lenistwo.

I przechadzał się teraz od katedry do tablicy z rękoma założonemi na piersiach. Przystanął i, zwrócony do klasy, z głową zadartą, znowu począł nauczać:

— Zoologia zajmuje się także i człowiekiem, który jako rodzaj zawiera dwa gatunki: *homo vulgaris*, bardzo zbliżony do małpy bezogoniej, i *homo sapiens*, stworzony na obraz i podobieństwo Stwórcy. Pierwszy gatunek prowadzi życie zwierzęce, odznacza się drapieżnością, kierowaną przez instynkt żarłoczności. Skoro zaspokoi swój apetyt, popada, w gnuśność i z pokolenia w pokolenie brnie w głupocie, upadającej rodzaj ludzki. Zoolog bada zęby, żołądek, kończyny w tym gatunku człowieka i tak go określa: Jestto zwierzę wszystkożerne, a choć pozbawione potężnych kłów, pazurów, przewyższa drapieżnością wszystkie inne bestye drapieżne...

— Z czego się śmieje ten drab w ostatniej ławce? Jak się nazywa?

— Sroczewski! — odpowiedziały głosy z ławek.

— Niech Sroczewski powstanie, choć go całego widzieć!

W ławie podniósł wyrostek, który już miał spory mech zarostu pod nosem i na brodzie.

— Przypominam sobie, że Sroczewski jest uczeń drugoletni... Osieł domowy jest zwierzę szpetne, ale użyteczne, przezorne, wytrwałe i wstrzemięźliwe... Pan jesteś kulań, to jest osieł dziki!

Wyrzekł ostatni wyraz z ogromnym naciskiem i znowu chodził po klasie z miną kwaśną, niezadowoloną.

— Sroczewski—mówił—w roku przeszłym nie przykładał się do zoologii, nie chciał i dziś nie chce poznać różnic, jakie zachodzą między bestyą dziką a człowiekiem. Fizyonomia pańska bardzo mi się nie podoba... Możesz usiąść i do końca roku siedzieć na moich lekcjach; nie dbam o ciebie, panie Sroczewski.

Profesor zasiadł teraz na katedrze, otworzył dziennik, czytał listę uczniów klasy drugiej, którzy, wywoływani z imienia i nazwiska, powstawali w ławkach, przedstawiając się nauczycielowi.

— Krążyński Władysław! Na wezwanie, powstał chłopak krępy, o małych czarnych oczkach, z czupryną szczeciniastą. Bożykowski zatrzymał na nim wzrok i rzekł:

— Powiedz mi, Krążyński, co stanowi przedmiot badania zoologa, a co botanika i w jakim celu oni badają przyrodę żywą na naszej planecie? Chłopak począł się oglądać na kolegów, a najbliższych szturchał obiema nogami, poszeptując:

— Podpowiadajcie! — Jakoż z przodu, z tyłu i z obu boków dały się słyszeć ciche podpowiadania, które Krążyński, jak mógł, łowił uchem i powtarzał za panią matką pacierz:

— Zeologia... zeologia... jest to historia... o człowieku i... i... małpie bezogonowej... Podpowiadacze sami nie rozumieli, co profesor mówił; każdy z nich pochwycił jakiś wyraz i podszeptował go koledze, który napędce układał z tego zdanie.

— Ten Krążyński ma kluski w gębie i jest głupcem bezmyslnym — rzekł Bożykowski ze zgorznięciem.

— Siadaj, człowieku upośledzony przez przyrodę! Całe swoje życie nie zdołasz umiejętnie wskazać różnic między prosięciem a skowronkiem... Kura ma więcej rozumu! I, obrzucając wzrokiem całą klasę, zawolał:

— Chciałbym się przecież dowiedzieć, kto tu ma inteligencję? W odpowiedzi na to, jakiś chłopiec z trzeciej ławki nieśmiało wyciągnął do góry dwa palce.

— Bardzo dobrze!... Lubię śmiałych i nawet jestem pobłażliwy dla zarozumiałych, gdyż tacy mają pragnienie wzniesienia się nad poziom, na czem zbywa nieukom i zwierzętom. A jak się nazywasz, mój chłopcze?

— Pietrzykowski! — odparł malec głosem drżącym.

— Nie bój się, mój Pietrzykowski, powiedz, o czem była mowa! Pokaż, że słowa wiedzy nie są perłami, rzucanymi w błoto!

— Ja proszę pana profesora o pozwolenie wyjścia na dwór, bo jestem chory... — wybełkotał chłopiec wybladły i pomieszany. Bożykowski zdumiał

się zrazu tak niespodziewaną odpowiedzią, a potem splunął pogardliwie i zawołał:

— Idź pan do dyabła i nie pokazuj mi się na oczy! Nie cierpię ludzi, u których przeważają funkcje życia zwierzęcego — animalizm!

Po wyjściu Pietrzykowskiego z klasy, gorycz profesora nadzwyczajnie wezbrała: wykrzywił twarz, rzucał głową na prawo i na lewo. Nareszcie pochwycił skwapliwie pióro z zamiarem zapisania w dzienniku: „Klasa druga podczas lekcji zoologii okazywała bezprzykładny i godny kary brak uwagi“. Wtem w pierwszej ławie powstał malec, wątlý blondyn, z wysokim czołem, wielkimi niebieskimi oczyma.

— Czego chce? — zapytał profesor z porywczą opryskliwością.

— Powtórzyc to, co pan profesor mówił o zoologii i botanice.

— Proszę mówić! — rzekł Bożykowski i położył pióro na stole.

— Pan Bóg stworzył ludzi, zwierzęta i rośliny, mówił chłopiec z wielkiem przejęciem się, głosem wyraźnym, dźwięcznym, który porywał ucho do słuchania.

— Ludzie mają z Boga duszę, a różnią się od zwierząt rozumem i mową. Ale ludzie, tak samo jak zwierzęta, widzą, słyszą, czują, wachają, smakują; ludzie na równi ze zwierzętami jedzą, piją, oddychają, rosną, umierają — mają, podobnie jak zwierzęta, głowę, nos, zęby, żołądek, nogi i dlatego zoologia opisuje człowieka, jako podobnego do zwierząt. Ro-

śliny, któremi się zajmuje botanika, w tem tylko są podobne do ludzi i zwierząt, że żyją.

Profesor słuchał z zajęciem niezmiernem tego opowiadania płynnego, które uczeń wygłosił bardzo pięknie i z taką pewnością siebie, że ani razu się nie zająknął. Rozjaśnił się skrzywiony Bożykowski, zstąpił z katedry, zbliżył się do ławki, zapytując łagodnie:

— Jak się nazywasz, mój chłopcze?

— Jerzy Zdzienicki! — odrzekł uczeń, patrząc śmiało w oczy nauczyciela.

— Mój Zdzienicki, przepowiadam ci, że nie będziesz człowiekiem pospolitym... Zostaniesz może poetą, filozofem albo — kaznodzieją sławnym. Pamiętaj sobie tylko, ażeby jaka pozioma skłonność nie stłumiła w tobie ognia zapалу szlachetnego i pięknych zdolności umysłowych! Bardzo dobrze! Ocaliłeś bowiem honor klasy, to jest — gromady swojej, a taki człowiek nosi miano bohatera.

Wstąpił na katedrę i zapisał w dzienniku: „Zdzienicki Jerzy odznaczył się pilnością i bystrością umysłu, przeto zasługuje na szczególną pochwałę“. Zdawałoby się, że człowiek z klasy pierwszej, drugiej nie jest w stanie rozumieć takich nauczycieli jak Szymoński, Bożykowski, którzy się nigdy nie zniżali do inteligencji malców, a wymagali, aby ich zrozumiano. Jednakże, zanim się doszło do klasy piątej, każdy znał na wylot sposób myślenia tych pedagogów i wszystkie odcienia ich charakteru. Ludziom dobrym, szczerym należy przebaczyć dziwactwa niewinne, a uczyć ich za pracę

sumienną. Nauczali i nauczyli, wychowywali i wychowali. W naszych umysłach odbiła się ich umysłowość, w charakterach—ich indywidualność. Któżby śmiał być niewdzięczny względem swego prawego ojca duchowego?

Przybywamy na lekcję pierwszą do klasy trzeciej. Wychowanie szkolne miało trzy okresy: dzieci klasy pierwszej i drugiej stawały się nicponiami nieznośnymi, tak zwanymi „łobuzami“ w klasie trzeciej i czwartej; nicponie przeobrażali się w klasie piątej i szóstej na młodzieńców myślących. Jestem skłonny mniemać, że zbyt surowy rygor szkolny wyrządził więcej szkody niż pożytku dziełu wychowania: temperamenty wartościowe—krewkie, ogniste — nieraz szły na marne. Klasa trzecia zaczynała wytwarzać, a czwarta wykształcała owych wyuzdanych swawolników, bezczelnych zuchwalców, wobec których szkoła częstokroć popadała w zwątpienie pedagogiczne: odrzucała od siebie niekarnego nicponia, oddając go na pastwę życia. A życie?... Życie nieraz odrzucało i odrzuca ulubionych pieszczochów szkoły, a podnosiło i podnosi wzgardzonych przez nią, którzy nie wyczerpali swojej energii i ambicyi w ubieganiu się o odznaczenia zewnętrzne, zachowując siły duchowe dla dzieł godnych człowieka.

Do nauczycieli, których zacy—jak się to mówi— „za łeb wzięli“, należał Hieronim Świątecki, człowiek bardzo łagodny i dobry — do rany przyłożyć. Nigdy się nie unosił gniewem, nie marszczył groźnie, nikogo nie łajał ordynarnie, nie sfukał opryskliwie. Wchodził do klasy zwykle zadumany, spokojny, cza-

sem dobroduszenie uśmiechnięty. Twarz jego pogodna, miła, niewieścia raczej niż męska—choć poorana brózdami wieku, miała ów wyraz dobroci pobłażliwej, jaki się daje widzieć u matek słabych dla swoich dzieci. Czoło przyżółkłe, oczy przyćmione, bez blasku, brak energii w rysach twarzy, niepewność, brak swobody w ruchach, przemawiały dosyć wyraźnie, że to jeden z molów książkowych, którym życie upłynęło w ślęczeniu nad bibułą zadrukowaną. Przez pół godziny przesłuchiwał uczniów z lekcji zadanej — „wyrzywał do lekcji“, mówiąc słowami gwary szkolnej; resztę czasu obracał na wykład lekcji nowej — „zadawał“. Był to nauczyciel wszechstronnie wykształcony; więc dyrektor pchał go na różne zastępstwa, latał nim w szkole wszystkie dziury, ile razy zabrakło nauczyciela fachowego do jakiegoś przedmiotu. Świątecki oddawał się wprawdzie mineralogii głównie! ale, kiedy zaszła potrzeba, musiał wyklądać nieraz geografję, fizykę, historję powszechną, algebrę, technologję górniczą, składnię lub stylistykę języka polskiego, nawet nauczał rysunków i kaligrafii. Trzeba przypuszczać, że i władza szkolna trzymała go za łeb, to „jest robiła z nim, co jej się podobało. Przekonania, zasady—może ówieki w głowie, któremi się kierował Świątecki, jako pedagog, były takie: „Dzieci są zawsze dobre. Wychowawca powinien się z dziećmi obchodzić szlachetnie, łagodnie, jeżeli je pragnie dobrze wychować. Należy ufać, wierzyć dzieciom, gdyż nieufność i podejrzliwość starszych zasiewają w sercach młodych ziarna nieszlachetności“. Od tych zasad uparcie nie odstępował przez całe ży-

cie. „Dzieci“ dawały i nauczycielom przewiska: Bożykowskiego nazywano już „Pokrzywa parząca“, już „Bestya ostrokolczasta“, Święteckiego—„Omni-bus“, „Hiercio“, „Hornblendą“. Pierwszego się obawiano, drugiemu ciosano kołki na głowie. Odbywa się właśnie pierwsza lekcya mineralogii w klasie trzeciej, a pan dyrektor, jakby natchniony duchem wieszczym, już na początku roku się odzywa: „Panie inspektorze, proszę pod szczególną opiekę wziąć klasę trzecią!“ Wszyscy trzecioklasiści wybornie znają Hornblendę, gdyż po całych Kielcach krążą tysiączne anegdoty o jego roztargnieniu i nieumiejętności postępowania z uczniami: niedołęga nawpół-głupi. Głównie też drugorocznicy umieją opowiadać mnóstwo wesołych historyjek, okrywających śmiesznością zacnego profesora. Pierwszorocznicy wiele z tego już słyszeli, a teraz dowiadują się jeszcze rzeczy nowych. Każde pokolenie uczących się przechodzi przez klasę trzecią, przyjmuje od pokolenia poprzedniego tradycję, roznosi ją po kraju podczas świąt, wakacyi i składa wyraźne dowody, że jeśli profesor ma swoje przekonania niewzruszone, mają je także uczniowie. Uważniej się przyglądając, ludzie wogóle postępują tak samo jak owe dzieci. Ostatecznie, w trzeciej klasie wiedziano, że Hornblendę można „mącić“, że się na jego lekcji nie uważa, że można robić, co się komu „żywnie“ podoba, a i tak będzie dobrze — włos człowiekowi z głowy nie spadnie. Pierwszorocznicy dązo słyszeli o tym profesorze, a jednak powiadają: „Nie mieliśmy wyobrażenia, żeby do tego stopnia“... Wśród gwaru, zgiełku wchodzi do klasy: ci tylko nie

hałasują, którzy z ciekawością i z uśmiechem złośliwym na ustach chcą mu się przyjrzeć. Idzie do katedry jak senny, a dłonią w dłoń lekko uderza i powtarza zeicha „cip, cip, cip“. Wygląda tak, jakby tej wrzawy wcale nie słyszał—wcale go to widać nie razi. „Cip, cip“ i jednocześnie zapisuje w dzienniku datę, przedmiot wykładu, treść lekcji, nazwisko swoje — na wszystko są rubryki. Skończył, klasnął w dłonie nieco silniej i nieco głośniej powtórzył „cip, cip“, poczem zaczął wykladać. Mówił głosem donośnym, dźwięcznym: podał najprzód określenie nauki, przedstawił niezmiernie ważne jej znaczenie i związek z innymi naukami, wskazywał cechy znamienne państwa kopalnego. Niekiedy podnosił głos, kładł nacisk na pewne wyrazy, wychylał się z katedry ku słuchaczom -- ożywiał się widocznie, wpadał w zapał. Cóż z tego, kiedy go nie słuchano: może tam gdzie i uważała jaka dusza spokojna i ona do niej jednej przemawiał. Rozmawiano bez ceremonii o rzeczach potocznych, przeprowadzano układy, handle. Uczniowie pierwszorocznicy zawiązywali stosunki z drugorocznymi, którzy rzucali na nich urok lekceważeniem władzy szkolnej i jej przepisów. Jakiś dryblas rozparł się gnuśnie w ławie i daje oto rady, nauki sąsiadowi:

— Na jego lekcji się nie uważa... Jest przecie litografowany kajet mineralogii, a prymus tam zaznaczy z kądem dokąd... Kto będzie chciał, może lekcję „wykuć“, ale i „kuć“ nie potrzeba, a można dostać dobry stopień... W zeszłym roku miałem zawsze czwórnę na cenzurę, a nie wyrwał mię ani razu: wpisało

mu się w katalog i koniec... Hornblenda zawsze myśli o niebieskich migdałach, łatwo mu z pod nosa sprzątnąć katalog i wpisać sobie stopień... Jakby się nie udało, to też niema nieszczęścia... Ogromnie go łatwo „otumanic“, byle prędko językiem „pytlować“, nie zająknąć się ani razu, potem się uklonąć, iść na miejsce bez pytania i koniec... Dopiero wtedy zaczyna uważać, kiedy uczeń stanie i nie wie, co mówić: u nas takich głupich nie było — wszyscy umieli „szklić“... Mówię ci, człowieku, sumiennie — żeby wszyscy belfrzy tacy byli, to żyć nie umierać!“ W klasie ciągle huczy niby rój pszczół, czasem się wyrwie jakiś wyraz głośniejszy gniewu, czy swawoli, czasem ławka trzaśnie, słychać zgiełk uderzeń, szamotania: w ostatnich ławach częstokroć odbywają się zapasy na pięści — „dzieci są dobre“. Wśród tych drugorocznych są i tacy, którzy znają słabości pana profesora, umieją w nie ugodzić, którzy się sadzą na pomysły bezczelne, zuchwałe i usiłują przez różne podejścia wytworzyć kłopotliwe położenie „belfra“: urządzają sobie z nim wesołe widowiska. Świątecki jest szczęśliwy, gdy mu uczniowie stawiają pytania, gdy znoszą mu do klasy minerały i nastęrczają mu sposobność do rozmowy naukowej: on to zowie „rozbudzonem pragnieniem wiedzy, wewnętrznym interesem duszy młodej, rwącej się do światła“. Tymczasem są to wolne zarty, zasadzki na dobrą wiarę nauczyciela — tak dobrą, że jej długoletnie doświadczenie nie zdołało zachwiać. „Dobre dzieci, którym trzeba zawsze wierzyć, ufać“, zakładają istne fabryki fałszywych minerałów. Z pyłu szosy, chleba tartego, cegły miał-

ko tłuczonej, kredy, smoły, wosku, żywicy — może i sera—drogą prażenia, suszenia, robi się minerał i z tem przychodzi się do katedry, zapytując:

— Panie profesorze, jaki to jest minerał? O, wtedy cała klasa wie, o co chodzi i z ciekawością patrzy, nasłuchuje, czy się Hornblenda da „złapać“. A Hornblenda zawsze z najlepszą wiarą ogląda, robi próby twardości, lgnienia do języka, pociera, wacha i niekiedy—wywiedziony w pole—pyta:

— Gdzie to, panie, znalazłeś? Odpowiada mu się:

— Na „Miedzianej Górze“ albo „Pod Niewa-chlowem, na Kadzielni, Karczówce, blisko Sukowa“. Profesor zapisuje sobie tę daną i zabiera minerał do domu dla rozpoznania. Najczęściej jednak „nie daje się wziąć na kawał“, spostrzega podstęp przy pierwszych próbach; ale „dla dzieci trzeba być pobłażliwym, wyrozumiałym“. Świątecki miał zawsze w kieszonce kamizelki rzemyczek wązki, cienki, z węzłem na końcu i w ostatnim razie narzędziem tem karciał „psotników“, którzy „niewinną swawolę“ posuwali zadaleko: uderzał żaka rzemyskiem w łapę lub w głowę, a przytem mówił: Wstydz się, „kruku morski!“ Innym razem zwał takiego psotnika „kogutem morskim“. Były to jelyne kary i jedyne łajania przezeń używane. Rumieńce występowały na jego twarzy bladej, kiedy czasem na korytarzu, w kancelaryi, słyszał dyrektorskie łajanie uczniów: „Bydło, osły, hołoto!“ W klasie posuwano nieraz śmiałość do tego stopnia, że sobie pozwalano pod boki Hornblendy rozmów

głośnych o jego ukochanej córce, Frani, pannie już dorosłej: „Frانيا pana profesora jest najpiękniejsza panna w Kielcach... A jaka ona dobra, jaka mądra!... Całą mineralogię umie na pamięć“. Może i w zadumie swojej posłyszał imię kochanej córki, gdyż się uśmiechnął. To zamyślenie człowieka i uśmiechanie się do jakiegoś obrazu, tkwiącego w myśli, stanowiły częstokroć przedmiot domysłów żactwa. „On się pewnie z tego śmieje, że inspektor w lecie nosi szopy!“ Wielu jest takich, którzy się cisną do katedry, oglądają jego ubranie, buty, wsuwają mu w kieszenie kartki z wierszykami, albo nawet kredą opisują plecy. Jeszcze inni zasiadają u stóp jego, na podnóżu katedry, gwarzą w najlepsze, rozprawiają. Świątecki patrzy na to wszystko okiem pobłażliwym i zapewne sobie myśli, że „dzieci mają do niego zaufanie, że go kochają“. Dobroć, łagodność, pobłażliwość miały—naturalnie—znaczenie wychowawcze w tej surowej szkole, gdzie się z nami obchodzono jak z więźniami; ale mowy nie było o mineralogii, no, a tej dobroci jego nie można też wysoko cenić, gdyż nie zawładnęła sercami uczniów i nie umiała nimi rządzić, aby ich dobrze wychowywać. Świątecki, człowiek zacny, bardzo wysoko wykształcony, był wychowawcą niezdarnym, niedolnym.

„W klasie czwartej są lamparty“ — mówiło się w Kielcach, i były lamparty. Trudno tu rozstrzygać, co mianowicie w szkole naszej sprowadzało skutki wprost przeciwne tym, jakie usiłowano osiągnąć. Może systemat soczku brzoźowego, stosowany przez inspektora, może już pierwsze wychowanie, przynie-

sione do szkoły z domów rodzicielskich, ogólne usposobienie ówczesnego społeczeństwa, a może wszystko to razem wzięte i jeszcze coś więcej. „Karność, karność!“—powtarzano na wsze strony i nieraz poświęcano wszystko dla karności, tymczasem młodzież, do której właśnie stosowano środki karności w najrozciąglejszem tego słowa znaczeniu, stawała się najniekarniejszą: najsurowiej i najczęściej karani byli najkrnąbrniejsi. Ujawniało się to najwidoczniej w klasie czwartej. Małcy, chłostani w klasach niższych z całą ścisłością, wbrew oczekiwaniu władzy, że im się nareszcie „napędzi rozumu do głowy“, wychodzili w klasie czwartej na „skończonych urwisów“, dla których nie było nic świętego—jak mawiał pan dyrektor. Wtedy szkoła przestawała się pastwić nad ciałem wychowanka, składała swój najgłośniejszy oręż wychowawczy i, bezsilna, oddawała społeczeństwu młodzieńców, bodaj czy nie przez nią wprowadzonych na złą drogę. Dyrektor corocznie przemawiał poważnie i z groźbą do różnych czwartoklasistów: „Ty, lotrze, wiesz tylko na jednym włosku!“ To znaczyło, że władza szkolna wielokrotnie karała już takiego „lotra“ za różne przestępstwa główne, a nadeszła chwila stanowcza i lada okoliczność wystarczy, aby się „włosek“ urwał i—wychowaniec wyleciał ze szkoły. Ów „wieszający na włosku“ niebardzo tam dbał o pobyt w szkole, owszem uśmiechało się do niego powabnie życie swobodnego obywatela; ale wydaleniu ze szkoły zawsze towarzyszyła chłosta obostrzona, w obecności ojca czy opiekuna, któremu do własnych rąk oddawano „wypędka“ z temi słowy: „Robiliśmy, co się tylko

dało, i nie z nim nie można było zrobić!“ „Oj ta czwarta!“—uskarżali się każdego roku profesorowie szkoły realnej w Kielcach, nazwanej „wyższą“ niewiadomo dlaczego. I przychodziło do gorszących zatargów władzy z uczniami, gdyż czwartoklasiści, często „chłopy pod wąsem“, powoływani przez inspektora do „komórki“, na wezwanie „kładź się“ odpowiadali nieraz wydobyciem noża z kieszeni. Naturalnie, Jacek nie zadrzał na widok noża i kończyło się zawsze na tem, że taki zuchwały gwałtownik otrzymywał za nóż drugie tyle różeg, ile mu pierwotnie zamierzano wylczyć: chciał rozlewu krwi, krew pociekła. Sprawozdania statystyczne inspektora zawsze wykazywały w czwartej nietylko winnych oporu władzy z bronią w ręku, ale także największą ilość „ciamiących fajki“, grywających w karty, pijących „gorzałeczkę“, a nadewszystko „wyciekających ze szkoły na wagusy“, to jest wałęsających się po okolicznych polach i lasach w godzinach przeznaczonych na naukę szkolną. Taki był zwyczaj, że nauczyciel na pierwszej lekcji porannej odczytywał listę uczniów i zapisywał nieobecnych, a następni nauczyciele już na tem polegali. „Wagusiarz“ więc przychodził na tę pierwszą lekcję, ażeby się przedstawić jako obecny, i potem uchodził pewny, że go już na listę nieobecnych nie wciągną, a przeto nie będzie potrzebował swej nieobecności usprawiedliwiać przed inspektorem zawsze podejrzliwym. Ale umiano też wcale nie przyjść do szkoły, a uchodzić jednak za obecnego: należało tylko znaleźć usłużnego, przytem odważnego kolegę, który podczas czytania listy powstawał i za nieobecnego

odzywał się śmiało „jestem.“ Czasem sztuka się nie udawała i winnych dosięgał miecz sprawiedliwości szkolnej. Dawali się wywieść w pole nietylko roztargnieni, nieuważni profesorowie, „dziamdzie rozlazłe“, ale także „kuci na wszystkie nogi“, przezorni i roztropni. Zresztą, wagusy miały w sobie tyle uroku, zwłaszcza dla tych, którzy się już zwlekli, że uciekano w pola, lasy, a potem fałszowano świadectwa gospodyń i gospodarzów, utrzymujących stancye: „Taki a taki nie mógł iść do szkoły z powodu choroby“... Pan inspektor wykrywał nadużycia, karcił je różgą, kozą — nic nie pomagało.

Z pomiędzy wszystkich profesorów szkoły, najwięcej powodów uskarżania się na klasę czwartą miał pan Świdrowski, nauczyciel języka niemieckiego. Co prawda, prowadził on wojnę nieustającą z żakami całej szkoły; ale łatwiej mu się było opędząć malcom z klas niższych, a nawet ich i zgębnić, podczas gdy czwartoklasiści zawsze go rozdrażnili, „żółci mu ulali, dali się we znaki“, a nienaczyzny uczyli się jak można najgorzej. Wychodząc z tej klasy, profesor sapał i chustką do nosa ocierał pot z czoła. Wysoki, „ciałowity“, sztywny, z twarzą dziobatą, oczyma małemi, Świder — jak go uczniowie nazywali, był uosobieniem pedantyzmu. Ubierał się zawsze bardzo starannie; kołnierzyki twarde, wysokie, podrzynały mu uszy, wybiegały na policzki i rażąco odbijały od twarzy czarniawej; halsztuk z czarnego atlasu jak chomąto wiewił szyję i podpierał brodę; kamizelka w dwa rzędy guzików, bardzo szeroko wykrojona, pozwalała widzieć obszerne śnieżno-białe pole gorsu koszuli

granatowy frak mundurowy z guzami złotemi; spodnie z fartuszkami; na głowie wysoka rura kastorowa lśniącej czarności; w jednej ręce para białych rękawiczek, w drugiej parasol nieodstępny. A jakie to wszystko czyściutkie, świeże, nowe! Wejście jego do klasy miało powagę obrzędu uroczystego, który się odbywał podług stałego ceremoniału. Profesor stawał najprzód w kącie parasol, jeśli było błoto, to i kalosze; następnie kładł na katedrze cylinder, co czynił z wielką rozwagą: stanąwszy na wzniesieniu, spoglądał, czy krzesło jest czyste, podnosił oburącz końce fraka i dopiero zasiadał. Teraz dłońmi obu rąk przyglądał włosy podług ówczesnej mody zaczesane na skroniach ku przodowi, spluwał na lewo, przysłaniając usta prawą ręką, poprawiał kołnierzyka i nareszcie wydobywał katalog z bocznej kieszeni fraka. Kiedy już ukończył te czynności przygotowawcze, rozpoczynał lekcję od wyzywania „na środek“ po kilku uczniów naraz. Lekcja taka odbywała się z przerwami, zwłaszcza jeśli Świder miał dobry humor, gdyż w takim razie uczniowie zarzucali go pytaniami, wymagającymi obszernych odpowiedzi, albo przedstawiali mu jakieś sprawy, które rzekomo wymagały załatwienia prędkiego. Profesor bowiem, w przeciwstawieniu do Hegla, wyobrażał sobie, że wszystko, co jest, jest złe, a może się stać dobrem, gdy on to poprawi, urządzi odpowiednio, jak się zwykle wyrażał „przeprowadzi reformę podług swego własnego systematu.“ Tak na przykład władza szkolna porządkowała uczniów w ławkach podług przeciętnego wypadku z sumy dodanych stopni, podzielonej

przez ilość przedmiotów, i usadzanie urzędowe przeprowadzał co miesiąc inspektor; ale Świder postanowił, ażeby na jego lekcyi uczniowie zajmowali miejsce w ławach stosownie do swoich postępów w języku niemieckim. Usadzanie takie sam przeprowadzał, co mu zajmowało całą godzinę; uczniowie bowiem dokładali wszelkich starań, aby tę czynność przeciągnąć i Świdrowi w przesłuchiowaniu lekcyi jako też w zadawaniu przeszkodzić. Że zaś stopnie z języka niemieckiego podlegały nieustannej zmianie, przeto usadzanie podług nich należało często wznawiać. Ale miało się i inne sposoby, powstrzymujące go od prowadzenia właściwej lekcyi, a czwarta klasa celowała pod tym względem. Oto Kulewicz staje w ławie i wystawia dwa palce do góry.

— „Czego chcesz tego tam?“ — zapytuje profesor.

— Prosimy pana profesora, żeby był łaskaw przeczytać nam „Walkę ze smokiem“ to takie ładne!.. A inni z boku wykrzykują: „Ach pan profesor tak ślicznie czyta!“ I rozlega się w całej klasie błagalne mruczenie: „Prosimy—wieceersze, wiecersze!“ Świder wydobywał z kieszeni znany poemat Szyllera „*Dér Kampf mit dem Drachen*“, który zawsze przy sobie nosił i zaczynał czytać. Co się też wtedy działo w klasie! Profesor wpadał w zapal nadzwyczajny, gdyż sobie wyobrażał, że ma głos piękny i nikt mu nie sprostą w sztuce deklamacyi; krzyczał, to znowu zniżał głos, a towarzyszyły temu miny i ruchy bardzo pocieszne: marszczenie brwi, wykrzywianie twarzy, uśmiechy tkliwe, rozkładanie rąk, bicie pięścią w katedrę, tupanie nogą. Niektórzy uczniowie pod-

czas tego zabawnie przewracali oczy, wznosili je do góry i nibyto w zachwycie wołali: — „Oj jej, jakież cudowne, prześliczne!“ Inni trzymali przy oczach chustki do nosa, rzekomo lzy ocierając. Jeszcze inni—wzruszeni jakoby w najwyższym stopniu—szlochali i sapali. A wszystko naprzód obmyślił i ułożył niejaki Gamarski, ażeby lekcya języka niemieckiego przypadła. Czasem znowu w imieniu klasy występował tenże Kulewicz z taką prośbą: „Dla dobra nauki, upraszamy pana profesora o zaprowadzenie w naszej klasie audytorów.“ Audytorowie stanowili słabą stronę Świdra i os' główną jego „systematu“ dydaktycznego. Dobór tych audytorów, zamianowanie dwóch nad-audytorów, przedstawienie im, co i jak mają robić, zajmowało także najmniej godzinę czasu. Z takimi i tym podobnemi przedstawieniami wypychano zawsze Kulewicza, który miał matkę Niemkę i z domu już wyniósł znajomość języka niemieckiego, a dawał do zrozumienia, że to zawdzięcza „systematowi“ pana profesora. Kulewicz był w łaskach; ale i on nie pomógł, jeśli Świder przyszedł do klasy zły, rozdrażniony, a najczęściej tak bywało. Jak miał być dobry, jeżeli dokoła niego istniały liczne przyczyny niezadowolenia?.. Przedewszystkiem pozostawał na stopie wojennej z „kancelaryą“—tak nazywał w goryczy swej dyrektora i inspektora. Inspektor bowiem, przeprowadzając nieustannie rozmaite śledztwa, badania wśród uczniów klasy trzeciej i czwartej, gdy jednego, drugiego należycie pociągnął za język, przekonywał się, że w klasach tych, podczas lekcyi języka niemieckiego dzieją się niepo-

rządki gorszące z winy nauczyciela. Spieszył więc niebawem z taką wiadomością do naczelnego zwierzchnika szkoły i donosił z urzędu swego: „Znowu mamy „awantury“ w klasie czwartej!“

— No, no, cóż tam takiego?

— Ha, Świdrowski, panie dyrektorze— jak to on—przesadzał uczniów podług swego widzi-mi się, a uczniowie w to im graj! Przez całą godzinę łazili po klasie, drwili z niego, Bóg wie, co wyrabiali, byle czas zabić. „Jakiż to nietaktowny człowiek! Uskarża się ciągle na klasę czwartą, a sam sobie winien... —To mi się już przykrzyło!.. Dobrze, dobrze, kochany panie, zrobimy z tego użytek! Trzeba koniecznie zapobiedz!“ I dyrektor wydobywał z kieszeni katalożek, w którym zapisywał różne uwagi nad członkami ciała nauczycielskiego, a teraz sobie krótko zaznaczył: „Świdrowski podnieca klasę czwartą do swawoli.“ Przy pierwszej sposobności, Świder dostawał „olbrzymiego nosa,“ wracał markotny do domu i w oddzielnym katalożku pod właściwą datą zapisywał: „Z powodu wprowadzania w życie systematu pedagogicznego i koniecznych reform szkolnych, spotkało mię znowu prześladowanie ze strony kancelaryi. Chcieliby mię—widzę—zrazić; ale znam swój obowiązek i umiem wytrwać na stanowisku.“

Nie to tylko jednak stanowiło przyczynę niezadowolenia, a nawet zgoryczenia profesora. Oto, gdziekolwiek się ruszył, wszędzie spotykał napis „Świder“ na murach szkoły i seminaryum, na parkanach i ławkach w ogrodzie spacerowym, na dzwonnicy, na zamku, na każdym domu znaczniejszym, a także

poza miastem, na słupach wiorstowych, na skałach Kadzielni, murach klasztoru bernardyńskiego na Karczówce i zresztą w miejscach, których nie wymienimy. Na ścianach białych pisano węglem, atramentem, ołówkiem; na poczerniałych parkanach—kredą, a byli i tacy, którzy ów napis wyrzeźbiali nożem na rosnących drzewach, skałach, murach, na ławkach w klasie. W całych Kielcach nie było nic popularniejszego nad ów napis. To też profesor, ile razy odbywał przechadzkę, zawsze z trwogą wznosił oczy na gmachy wznioślejsze, przeczuwając, że ręka nienawistna zapisała tam jego przezwisko. Zwykle nie doznawał zawodu i wtedy co tchu spuszczał wzrok ku ziemi, i w sercu jątrzył się straszliwie nienawiścią, pogardą dla „gałgańtuchów, duchów bestyalskich i kanalskich“ — tak nazywał uczniów w napadach złości. Razu jednego spostrzegł na kominie domu piętrowego wypisaną tę firmę swoją, co sprawiło, że nazajutrz wszystkim uczniom, „wyrwanym do lekcji“ w klasie trzeciej i czwartej zapisał pałki z języka niemieckiego i ze sprawowania. Otóż, walka z kancelaryą i z uczniami wyrobiła u profesora zgryźliwość, popędliwość, lekceważenie, wzdargę dla całego otoczenia. Takie uczucia najwięcej szkody przynoszą temu, który je żywi i zaprawdę ciężko jest człowiekowi przebrnąć z niemi padół doczesny. Świdrowski był istotnie nieszczęśliwy. Przecież wszystkie wspaniałe przymioty geniusza ludzkości nie skupiają się nigdy w jednym człowieku; ale każda jednostka ludzka posiada jakąś cząstkę tego znakomitego skarbu i z nią występuje do czynu na polu dzia-

łalności powszechnej. Świder był nauczycielem pilnym, sumiennym i wkładał немало zapału w pracę, a jednak usiłowania jego nauczycielskie nie wydawały owoców. Dlaczego? Na to pytanie odpowiedział był raz pan dyrektor podczas sesji pedagogicznej:— „Pedagog głupi, a przytem ucziwy i przejęty swoją rolą, jest to największy wróg wychowania: taki, im sumienniej pracuje, tem więcej złego nabroi. Prawda, że się sam ośmieszy wobec uczniów i nie zdoła przeprowadzić swoich niedorzecznych jakichś tam reform, systematów; ale dziękuję za profesora ośmieszonego w szkole!“ Całe grono nauczycieli obecnych na tem posiedzeniu wiedziało, do kogo dyrektor pije. Koniecznie chciał pozbyć się nieznośnego przezwiska „Świder“ i przemawiał do rozumu uczniów klas wyższych: tłumaczył im według zasad lingwistyki, że ród Świdrowskich wywodzi swą nazwę od Suider. „Przodkowie moi przybyli z nad zatoki Zuider-see, zwali się „Zuidrowie“ albo „Suidrowie,“ z czego przez przybranie końcówki polskiej *ski* powstało nazwisko „Zuidrowski, Suidrowski“; a że *sui* musi się zamienić na *swi*, przeto potomkowie Suidrów noszą nazwisko Świdrowskich, nie zaś Świdrowskich.“ Lingwistyka nie a nic mu nie pomogła; żacy tembardziej przezywali go „Świdrem“ i doprowadzili do ostatniego stopnia rozgoryczenia.

Pan Kryspin Zaworski odbywa w klasie piątej lekcję wstępną historii powszechnej, a naucza on także geografii w klasach niższych. Był to jedyny w szkole realnej filolog, gorący wielbiciel klasycyzmu, i zapewne z tego powodu z jakimś lekceważeniem

spoglądał na ludzi, nie mających pojęcia o „boskim“ Homerze, „nieporównanym“ Wirgiliuszu i „wiecznie młodym“ Horacym. Słyszało się nieraz z ust jego: „Kielce—ha ha ha!.. To nie Ateny, dalibóg—gorzej niż osławiona Abdera!.. *To vicus barbarorum! Ha, oppidum obscurum, miserrimum!*“ Kto się nie uczył w domu rodzicielskim po łacinie, nie rozumiał profesora, a jeśli się taki znalazł w klasie, zyskiwał jego względy. Wywierał on wpływ na umysły wrażliwszë, ponieważ poza światem zwierząt, roślin, minerałów, sił i procesów przyrodniczych, figur i formuł matematycznych, ukazywał świat dziejów, sztuki, poezyi. Ale były to raczej jego zachwyty osobiste, napomknienia niejasne dla nas i niezrozumiałe, którym brakowało bądź gorliwości wychowawczej, bądź metody prowadzącej do celu. Znaczyło i tak wiele, że podniecał tego i owego, obudzał interes wewnętrzny. „Cywilizuj się, barbarzyńco!“—wołał nieraz na ucznia, któremu trudność sprawiało wymawianie nazwisk greckich: Arystydes, Tucydydes, Arystoteles, Halicarnasus, Massagetha. Już w ostatnich latach istnienia tej szkoły realnej zaprowadzono poza planem szkolnym nieobowiązkowe lekcye łaciny, której nauczał Zaworski. Różni ojcowie zalecali synom naukę tego języka: „Ksiądz, doktor, aptekarz muszą koniecznie umieć po łacinie!“ Profesor drwił z tego nielitościwie: „Jeśli tylko o kabzę chodzi, to się i bez łaciny można obejść... Poco aż na Kapitol się wspinać?“ Uczniowie przewali go „Hebes,“ ponieważ on tak nazywał każdego nieuka, a wszystkim próżniakom i osłom zbiorowo nadawał nazwę „Azya.“ Usiadł

oto na katedrze, wsparł się na łokciu, pogrążył palce w czuprynie bujnej, starannie trefionej, i wodził oczyma po ławach. Do klasy piątej wstępowało się na zasadzie surowego egzaminu z czterech klas niższych; ale tę surowość stosowano tylko do matematyki i nauk przyrodniczych, na inne przedmioty patrzano przez szpary. „Trygonometrya, sekcyje koniczne, geometrya wykreślna, algebra, mechanika, fizyka, chemia, geografia matematyczna potrzebują głów nie sianem, nie wiórami wypchanych!“—wykrzykiwał pan dyrektor, stawiając na egzaminie palki czwartoklasistom, których nie chciał wpuścić do klasy piątej. „Bo jak go wpuszczę, to będzie chciał wyjść, pójdzie na wydział matematyczny i narobi szkole wstydu.“ Niejeden atoli złożył dobrze egzamin z matematyki, a nie umiał wypracować piśmiennie najprostszego opisu. Zaworski znał tych uczniów i, robiąc teraz ich przegląd, mówił z ironicznym uśmiechem na ustach: „He, he, he, co ja widzę!.. Hordy Azyatów grożą zalewem Europie... No, no, niech tylko barbarzyńcy nie myślą, że wszystkie rozumy posiadli, ponieważ wiedzą, jak się robi mydło, wypala wapno i—przetapia ruda żelazna!“ Zaczął wykladać i spostrzegł, że któryś z uczniów ziewa. „*Aetas aurea appropinquatur!*.. Hebesie, połóż się brzuchem do góry na słońcu, a słodkie miody z drzew rajskich będą ci same w gębę otwartą siurczkiem splywały!“

Żywimy przekonanie, że szkoły początkowe i średnie powinny być zakładami wychowawczemi, nie naukowemi i—że jakoś obcowania pedagogów z młodymi ludźmi, jako też wzajemne stosunki wychowań-

ców mają tu najgłówniejsze znaczenie dla przyszłości obywatelskiej człowieka. Bez zadawania i wysłuchiwania lekcji można przygotowywać społeczeństwu dobrych i zdolnych ludzi; ale, ażeby to nastąpiło, potrzeba najprzód wychować pedagogów takich, których każde zbliżenie się do dziecka jest obite w dobroczynny wpływ wychowawczy. Człowiek jednakże jest już z natury swej ogromnie wychowalny i częstokroć, mimo najzgubniejsze wpływy rodzinne, szkolne, staje się dzielną jednostką społeczną. I to bywa, że wzorowe przykłady w rodzinie i w szkole wcale nie oddziałują na wychowanka, wszelkie usiłowania marnieją i wychowaniec wchodzi na widownię życia jako niepoń. Praca wychowawcza jest więc sztuką, polegającą na właściwym stosowaniu wpływów pożądanych i w sposób taki, aby każde dziecko wychować na dzielnego człowieka bezwarunkowo, a odpowiednio do jego skłonności duchowych. W szkole kieleckiej krzyżowało się mnóstwo przeróżnych wpływów, jak w ogóle w szkole, i wychowaniec, pozostając jedynie pod naciskiem zewnętrznego rygoru, miał zupełną swobodę urabiać się wewnętrznie w kierunku upodobanym. Tembardziej zasługują na uwagę ci kierownicy, którzy wpływem swoim umieli opanować młode dusze i niewolić je moralnie do miłowania ideałów uzacniających rodzaj ludzki z pokolenia w pokolenia. Przechowały się liczne podania, świadczące, że wielki Zeus, ile razy chciał oddziaływać na śmiertelników, przyoblekał postać człowieka, schodził z Olimpu i obcował z ludźmi. Nauczyciele po największej części za bardzo się szanują

^{swyła rękę}
i, unikając zbliżenia się do wychowanców, już tem samem zaznaczają swą niechęć, czy nieudolność wywierania wpływu na młodzież. O ile możemy sięgnąć pamięcią własną w przeszłość wychowania, zawsze się widywało bardzo dużo takiego fałszywego majestatu pedagogicznego, takiego dobrowolnego zaniedbywania najważniejszego środka wychowania. Kto własnym sercem nie zaczepi o serca dzieci żywo i szczerze, temu żaden systemat nie da do rąk berła potężnej władzy rządzenia i kierowania umysłami młodemi. Zbliżyć sztukę wychowania do życia rzeczywistego, wprowadzić w ruch życiowy wszystkie ideały wychowawcze jest to najwyższa sztuka—całe zadanie pedagogiki. Jakże nas wszystkich w klasie szóstej zadziwił na pierwszej lekcji pan Rożewski, nauczyciel chemii, kiedy począł z nami rozmawiać poufale, jakby kolega starszy i tak, że w tonie głosu, w ruchach jego swobodnych, w uśmiechu, w całym zachowaniu nie było ani znaku augura!.. Myśmy sobie prawie nie wyobrażali, ażeby taki pan profesor mógł być jednocześnie zwyczajnym człowiekiem, mającym myśli, uczucia podobne do naszych. Dotychczas widywało się na katedrze mniej lub więcej szanownego—czasem śmiesznego-manekina, uzbrojonego we władzę, powagę, mającego prawo i obowiązek gromić nas, karcić, nauczać; ale my i profesorowie nasi były to dwa odrębne, w niczem do siebie niepodobne światy. A tu naraz zjawia się profesor, istny brat Łata, który, chociaż był o wiele, wiele od nas rozumniejszy, jednakże dopuszczał uczniów do takiej poufałości, jak gdyby pragnął, aby się z nim tykali.

Żacy skwapliwie garnęli się do niego i, czy podążał ku szkole, czy wracał do domu, zawsze go otaczała gromada uczniów, zarzucając licznymi pytaniami. Odwiedzaliśmy go także w domu, gdzie nas przyjmował zawsze z niewymuszoną serdeczną uprzejmością, przedstawiał swojej żonie i niejednokrotnie gościnnie zapraszał do stołu. Znaliliśmy dokładnie jego domowy tryb życia, robiliśmy mu papierosy, przepisywaliśmy rękopisy prac, które oddawał do druku, bawiliśmy się z dziećmi. On również z żywym zajęciem wchodził w różne szczegóły naszego życia, obchodziły go nasze prace, zabawy, upodobania, uzdolnienia, zawody, jakim zamierzaliśmy się oddać po skończeniu szkoły. Dopiero z ust Rożewskiego posłyszane wyrazy „społeczeństwo, prawo, dobrobyt i przyszłość kraju, wiedza, ludzkość, postęp“ wywierały wpływ na uczniów i osadzały się w umysłach jako pojęcia pełne znaczenia. Pracownia chemiczna, zwykle zaniedbywana w szkole, napelniła się teraz zwolennikami doświadczeń; a wycieczki uczniów z profesorem do różnych zakładów górniczych obudzały bardzo żywe zajęcie. Nigdy nie unosił się gniewem ani zapałem kaznodziejskim, ale zawsze z wielkim spokojem nazywał rzeczy po imieniu. Kto umiał dobrze zadać lekcję, ten usłyszał z ust profesora: „Widzę, że rozumiesz, o co chodzi.“ Do nie umiejącego lekcji przemawiał: „Ciebie to wcale nie zajmuje!“ Rożewski, jako nauczyciel, zdawał się nie uznawać systemu pochwał i nagan za naukę, a podstawał zamiast tego rozbudzanie w uczniach żywego interesu umysłowego dla tej nauki. On w klasach wyższych, a Szy-

moński w niższych głównie nadawali szkole kierunek wychowawczy, to jest usiłowali, o ile mogli, stosować zasadę postępowania: *non scholae, sed vitae discimus*. Z Rożewskim rozmawialiśmy śmiało i otwarcie nawet o sprawach, których podnoszenia prawo szkolne wzbraniało uczniom.

Wprawdzie jednostronnie—w kierunku szlachetnie idealnym—oddziaływał też na nas i zacny ksiądz prefekt, dając nam z siebie przykład pobożności, dobroci i miłosierdzia. Już to jedno miało wielką wagę, że ksiądz prefekt umiał sobie pozyskać zaufanie uczniów. Młody człowiek dopuścił się nieraz przestępstwa, za które oczekiwała go bardzo surowa kara, a może i usunięcie ze szkoły; szło się wtedy do mieszkania księdza prefekta ze skrucą i prośbą o wstawiennictwo u pana dyrektora. W parę godzin potem wychodziło się ztamtąd ze łzami w oczach, ale dobry ksiądz prefekt zawsze wyjednywał dla winowajcy bądź zupełne przebaczenie, bądź znaczne zmniejszenie kary. Innym razem, widząc ubóstwo ucznia, jak święty jaki, dzielił się z nim swoim szczupłym mieniem. Niejeden biedak zawdzięczał mu to, że w mrozy ciężkie nie marzył z zimna albo — odżywił się dostatejnie niż pozwalala na to zamożność jego rodziców.

Z godnością i namaszczeniem nosił powagę swoją pan Ignacy Stawski, starszy nauczyciel języka rosyjskiego. Posiadał on wszystkie warunki niezbędnie człowiekowi potrzebne, aby mu względnie dobrze smakował twardy kawałek chleba nauczycielskiego. Był to zasobny stary kawaler, który nie potrzebował

drżeć o przyszłość: gdyby go nawet emerytura ominęła, miałby i tak żyć z czego. Taka pewność materialnej podwaliny pozwalała też Stawskiemu, jako pedagogowi, być dosyć niezależnym względem despotycznego dyrektora szkoły. Zimny, spokojny, jakby wykuty z marmuru, bez uśmiechu, bez zmarszczki gniewu, jednostajny w tonie głosu, w ruchach miarowych, poważnych, przez całą godzinę nauczał, egzaminował i równo z dzwonkiem przerywał lekcję. Wzrokiem utrzymywał w klasie porządek i nigdy nie tracił czasu, jak inni, na udzielanie przestróg, napomnień, a jednak nie było przykładu, ażeby któryś zakuścił się jakiego wybryku pod wpływem zimnych, burych oczu profesora. Był on uosobieniem taktu nauczycielskiego, to jest niezłomnej rutyny, która wcieliła w postępowanie wszystko, co się dzieciom narzuca jako powaga, i — woli stanowczej, która to wiązała i utrzymywała zawsze w jednej mierze. Każdy nauczyciel, obarczony pracą, jeżeli tylko nie chce zużyć się przedwcześnie i zniechęcić do roboty, musi sobie znaleźć taki *modus vivendi*, taki spokojny nałóg postępowania. Nie różga to i koza inspektorska, nie srogość dyrektora wprowadzały do szkoły pierwiastek karności i rządu pedagogicznego; jedynie zimna krew Stawskiego, jego takt nadzwyczajny, czyniły zadosyć temu wymaganiu. Ale już poza szkołą nie wywierał on wpływu na uczniów. Nie będę tu wymieniał różnych innych pedagogów szkoły, gdyż ich fizyonomie fizyczne i duchowe nie wywarły na władzę pamięci silniejszego wrażenia, a z tego powodu zupełnie się w niej zatarały.

II.

Były onego czasu w Kielcach panie, rozmaite wdowy nie-wdowy, które utrzymywały tak zwane stancye, czyli pensyonaty uczniów. Ojcowie, nie mający funduszków dostatecznych, aby pomieszczać synów u któregoś z profesorów, co kosztowało drogo, zasięgali języka o różnych innych stancyach i oddawali malców pod opiekę tej lub owej „studenciarki,” jak się wtedy mawiało. Swojego czasu używała była sławy stancya niejakiej Lodowskiej, nazywanej przez uczniów „Biskupicą,” gdyż się nieustannie przechwalała, że jest siostrą jakiegoś zmarłego już biskupa. Nasi ojcowie mniej dbali o odżywianie synów, a to stosownie do panującej zasady: „Chleb ma rogi“ i — *„plenus venter non studet libenter.“* Zdaje się, że na sobie sprawdzili wartość tej zasady, chcieli więc synom ująć obroku. A może też i przewidywali wieszcho lata głodu... Główną siłą wychowawczą na takiej stancyi stanowił korepetytor, który przez ciąg roku szkolnego prowadził kampanię, ujadając się z żakami; gospodyni w każdym razie chowała do kie-

szeni zebrane wawrzyny, jako gotówkę. Przedsiębiorcy, zarobkujący na cudzych mózgach i żołądkach, nigdy nie bankrutują, jeżeli sobie zysk jako cel postawili. Dawniej, podobnie jak dzisiaj, rodzicom chodziło tylko o to, aby syn z roku na rok otrzymywał promocję. Podstawy dzielnego charakteru, rozumu rzetelnego były i są ilościami niewiadomymi w równaniach wychowania; troska o nie rzadko kiedy oblegała głowy rodzicielskie i często można było słyseć wyznanie szczerze: „Ja tam nie chcę, ażeby syn mój był filozofem.“ Nagrody, pochwały, promocje, świadectwa i patenty—oto cele, dla których się posyłało dzieci do szkoły, a i dziś niewielkie zmiany zaszły pod tym względem. Korepetytor na stancyi miał więc nielada zadanie, ażeby „wydębić“ — jak mówiono—na różnych nieukach „trójkę przeciętną“ potrzebną do promocyi. Ha, w krajach, gdzie ludzie mają plecy obnażone, przy pomocy kija wznoszono piramidy! Skóra malca jest bardzo wrażliwa!

Sama pani Ledowska, kwoczka cudzych piskląt, odgrywała niezmiernie małą rolę w tem dziele zarobkowania na żołądkach żaków, obdarzonych żarłoczością gąsienic. Chleb ma być świętem prawem ludzi, ale o tem wie tylko Bóg i—głodni. Największe prawo do chleba mają ci, którzy go zjadają za głodnych. Ledowska utyla na żakach. Żywo mi stoi przed oczyma dziś jeszcze postać Biskupicy, wizeunek stylowy ówczesnej staruszki-szlachcianki. Wyśiaduje całemi dniami w fotelu z pokryciem włosianem czarnem, ma na głowie czepiec czarny koronkowy z końcami wolno puszczoneimi; a z pod czepca

wyzierają dwa loki włosów białych, zwinięte na skroniach w pukle, które przypominają wióry. Jest to osoba pełna w sobie, zaokrąglona we wszechciele; z godnością surową wodzi wkoło oczyma dżemi, wyblakło niebieskimi i albo odmawia koronkę, albo, nałożywszy okulary, wykończy na drutach jakieś chusteczki włóczkowe, rękawiczki z pół-palcami, zarękawki, czy co tam. Ma ona zawsze na podręczu ziarenka palonej kawy, które zuje: używka taka była w modzie u kobiet ówczesnych. Kot biały, Miluś, którego oczy przypominały i wyraz łagodny i barwę oczu pani, wysypiał się zwykle na jej podółku. W warsztacie karmienia „uczniaków“ drugą osobą główną po korepetytorze była córka Biskupicy, Kasia, zwana przez pensjonarzy „Katarynką:“ w języku młodzieży szkolnej właściwe imię i nazwisko nikomu nie wystarczało. Ta panna, licząca mniej więcej dwadzieścia lat życia, pulchniutka, okrągłuchna na wszystkie strony, różowo zabarwiona na twarzyczce, nadzwyczajnie czynna, gospodarna, stanowiła duszę kuchni i spiżarni pod firmą macierzyńską. Ona zakupywała na targach przedmioty spożywcze, wydawała śniadania, obiady, podwieczorki, kolacje i pełno jej było w kuchni. Po wyjściu uczniów do szkoły, robiła porządki przy pomocy dziewczki w dwóch izbach studenckich, istnych stajniach Augiaszowych. Jeżeli który żak zachorował, ona wyrokowała nieodwołalnie, czy należało przyzwać lekarza, gdyż umiała biegle odróżniać choroby rzeczywiste od udanych. Na wypadek nieobecności korepetytora uśmierzała wrzawę rozszalałych

malców, a częstokroć nawet musiała własnoręcznie rozbrajać zapamiętałe walczących, co było zadaniem bardzo trudnem. Zawierała umowy z rodzicami, pisywała do nich listy, przedstawiała im rachunki, prowadziła rejestra i utrzymywała kasę przedsiębiorstwa. Katarynka, z powodu skąpstwa i ogromnej stanowczości, przez cały rok szkolny pozostawała na stopie wojennej z pensyonarzami, głównie— z najmłodszymi, jako najżarłoczniejszymi i najkrnąbrniejszymi. Miano do niej wieczną urazę o to, że jest kobietą a przewodniczyć chce płci męskiej.— że wydaje na stół za małe kawałki chleba, mięsa, sera,— że ze sknerstwem szafuje masłem, cukrem, mlekiem itd. Jakże tu zaspokoić głód żarłoków, mając przytem i głównie na oku zarobek własny? Dzielną, wytrwałą pomocnicą panny Lodowskiej była Łucka albo Łusia, zwana przez uczniów „Dragonem”—dziewka przysadzista, szeroka w plecach, czerwona jak burak, zawsze spocona, rozczochrana i bardzo wojowniczo usposobiona względem „uczniaków”. „Ktoby też kiedy mógł nasycić to psiarstwo?... Warza z komina nie schodzi, a zawdy im mało i jeszcze jeden drugiego odżera.”

Dźwignią w porządku wyższego rzędu, przedstawicielem wiedzy i zasad wychowawczych, które garnkuchnię Biskupicy zbliżały poniekąd do zakładu edukacyjnego, był korepetytor, Wojciech Stępowicz. Młodzieniec ten dwudziestoletni, dobrego wzrostu, posiadał taką siłę, że—jak upewniali świadkowie wiarogodni—kiedy mu się udało podbić rzetelnie piłkę palantem, to piłka zupełnie znikwała w górze z oczu.

Czarny, dziobaty, zezowaty, szpetny na twarzy, miał duszę z kamienia, rękę z żelaza, i utrzymywał w surowej karności jedenastu chłopaków. Łapy, wymierzone przezeń potężną linią dębową, szturchańce w kark, targańce za uszy, włosy i inne energiczne środki edukacyjne wyciskały codziennie z oczu żaków źródła łez obfitych. Wychowano go podług takiego właśnie systemu, więc i on w podobny sposób wychowywał pokolenie najmłodsze: bił a płaczu nie znosił. Trudno byłoby stanowczo dowieść, że wychowywanie przez zadawanie cierpień ma tylko swoje złe strony. Stępowicz uchodził w Kielcach za znakomitość korepetytorską; to też malcy obdarzyli go przewiskiem „Madej.” Okropne były chwile wydawania lekcji i owe godziny korepetycyi odprawianych po kolei z klasą pierwszą, drugą, trzecią. Plagę żaków stanowiła arytmetyka w połączeniu z geometryą: nie można „wykuć” pamięciowo, trzeba koniecznie zrozumieć i tego rozumienia napędzano bolem. W cierpieniach ciężkich rodziły się nasze pojęcia ilości, rozciągłości. Zналиśmy takich, którzy dopiero pod wpływem strachu rozpoczynali pracę myślenia, jakkolwiek psychologowie uważają trwogę za wroga myśli. Madej głównie dokuczał chłopcom papinkowatym, płaczkliwym pieszczochom mam; okazywał zaś niejaką przychylność chłopakom zaciętym, wytrzymałym, którzy znosili męczarnie z zębami zaciśniętymi—bez łez, bez pisku—jak gdyby nie odczuwali bólu. Jeżeli takich walił, to jedynie, aby ich doświadczyć, o ile też są wytrwali. Trzeba mu przyznać, że był bardzo sumiennym rzemieślnikiem, nadzwyczajnie

czajnie dbałym o dobre wykończenie powierzonej sobie roboty. Biada żakowi, który trzeci raz z rzędu wydawał przed korepetytorem jedną i tę samą lekcję, a jeszcze jej nie umiał! Lodowska zasypiała nieraz, słuchając, jak Madej wykrzykuje głosem ponurym: „Osłe, mazgaju, bęcwale, trutniu!“ A w ślad za tem rozlegały się uderzenia linii — pac, pac, pac... I krzyk nieraz mniej wytrzymałych: „Oj jej jej jej!... „Mój panie najśladzi!“ Jeżeli zdarzenie było bardzo hałaśliwe, Katarzynka stawała pod drzwiami i nasłuchiwała, zagryzając ulubiony chleb świętojański, albo — cukier lodowaty, migdałki, następnie opowiadała matce, kto i za co odebrał karę. Te kobiety wiedziały, że Stępowicz na nie pracuje. Niekiedy krzyki nadzwyczajne sprowadzały pod drzwi także Łuckę, ciekawą posłuchać, który „studenciak znowu co przeskórzył.“ Dziewka miała serce dla najmniejszych żaczków, wzruszała się ich cierpieniami i czasem nawet usiłowała zmiękczyć twardego korepetytora. Oleś Puszewski, płaksa lękliwy, tkliwy i delikatny prawie cały czas poza szkolny nie ocierał łez z oczu; częstokroć łzy mu spływały w talerz zupy, albo — w szklanekę mleka już i tak przez Katarzynkę rozwodnionego. Baba — tak zwano Olesia — kilka razy potajemnie zwracał się ze skargą do samej pani Lodowskiej; ale Biskupica uspakajała go temi słowy: „Mój brat, nieboszczyk biskup, zawsze powiadał, że człowiek odbiera karę, choćby niesłuszną, jedynie dla swego własnego pożytku... Oprócz tego, pamiętaj sobie, chłopeze, mój brat nieboszczyk biskup mawiał: Wszelka władza pochodzi od Boga... A był

to człowiek wielki, znakomity.“ Gospodyni także bała się tego surowego korepetytora i okazywała skłonność do wierzenia obiegającej na stancyi między żactwem wieści, jakoby nawet pan inspektor bardzo starannie unikał wszelkich zatargów z niebezpiecznym Madejem. Puszewski miał przyjaciółkę i opiekunkę w Łucce, która się rozżalała nieraz nad jego niedolą i gdy spotkała chłopca gdzie w samotności, wsunęła mu w rękę jabłko, gruszkę, kilka śliwek, orzechów. „Niebożatko moje, chudzinka“ mówiła, głaszcząc go po głowie albo pod brodę łapą grubą, brudną, opieczoną przy ogniu. „Trzeba na to Heroda ostatniego, żeby umęczać takie niewiniątko!“ Mordercze korepetytorstwo osiągało cel pożądaný i młode pokolenie narodu na stancyi u Lodowskiej pod wodzą Madeja w ciągu dwóch lat przechodziło z klasy do klasy. „O, my tego nie znamy, co to jest uczeń marnujący dwa lata w jednej klasie!“ Przemawiała chępliwie Katarzynka do ojców, którzy byliby radzi coś utargować z ceny ustanowionej za wyżywienie synów i opiekę macierzyńsko-ojcowską nad nimi. Łucka też z tego samego powodu zachowywała w postawie bardzo dużo godności, chcąc dać do zrozumienia, że na stancyi, gdzie ona działa, wszystkie „uczniaki“ dostają promocye. „Dokuczliwe to-to nikiej psiaki, a jak się rozjadą, to człękowi markotno.“

Dzięki mozołnym usiłowaniom Madeja, stancya Lodowskiej podniosła ceny, zaczęła należeć do zakładów wychowawczych kosztowniejszych i trzeba było na pół roku przed wakacyami zamawiać miejsce dla pensjonarza. „My, właściwie mówiąc, nie utrzymu-

jemy stancyi, tylko—pensjonat, zakład naukowy“ były słowa Katarynki, która nie mogła znieść tego, ażeby ktoś mógł porównywać stancję Łódowskiej z innymi stancyami w mieście. Obowiązki korepetytora przejisywała władza szkolna, a były one takie: Korepetytor codziennie rano i wieczór musiał odmawiać pacierz z uczniami; przestrzegał gorliwie, ażeby żaden z powierzonych jego opiece malców nie kurzył fajki; przesłuchiwał każdego żaka, czy umie dobrze na pamięć lekcye zadane przez szkołę; nauczał zasad arytmetyki i geometryi w zakresie przepisany dla każdej klasy; w rekreacye i święta winien był z całą gromadą odbywać przechadzki. Ile razy przechadzka miała nastąpić, Stępowicz umawiał się poprzednio z jakimś innym korepetytorem, który zabierał znowu swoją stancję i tak dopiero dwa towarzystwa albo używały gry palanta w piłkę latem, albo zimą zabawiano się w obleganie i zdobywanie tak zwanej fortecy. Madej odznaczał się wielkim zapalem do gier wspomnianych, a stancya Biskupicy zawsze zwyciężała, ponieważ wódz jej nie pojmował, co to jest pierzchnąć z pola bitwy przed nieprzyjacielem. Kto od Madeja otrzymał uderzenie piłką w plecy, ten długi czas pamiętał, gdzie go zaswedziło. Podczas zdobywania wałów fortecy, usypanych ze śniegu, piguły lodowate warczały w powietrzu, a wódz szedł na czele, wołając: „Za mną wiara!“ Tak wyćwiczył, wymusztrował swoją stancję, że nawet Oleś Puszewski, choć z płaczem i strachem, szedł do szturm, a nikt nie śmiał pomyśleć o odwrocie.

Jeden tylko uczeń na stancyi Łódowskiej nie podlegał tyrańskiej władzy Stępowicza, mianowicie—kolega jego z klasy pierwszej, Janek Łukowski, który, odsiadując po dwa lata w każdej klasie, był właśnie obecnie czwartoklasistą drugoletnim i obchodził się bez korepetytora. Pamiętam go bardzo dobrze i widzę, jak doczyszcza mundurek z najmniejszej plamki, — jak usiłuje doprowadzić buty do połysku świetnego, albo—jak oburącz wciera w czuprynę wonną pomadę topolową. Zawsze się tak stroił, przygotowywał, ile razy zamierzał wyjść na ulicę; jak raz w tym samym czasie, kiedy uczennice szkoły pani Kalińskiej używały przechadzki. Janek, wyświeżony, cały pachnący jak apteka, lubił defilować przed szeregiem dziewięć młodziutek, które znał z imienia i nazwiska. Pewnie serce przemawiało głosem znanym każdemu: „Trzeba kogoś kochać!“ I Janek szukał owego przedmiotu miłości, nie wiedząc, gdzie go znajdzie, a szukał wszędzie, gdzie się dało. W czasie adwentu nigdy nie zaniedbywał rorat, co zacny ksiądz prefekt przypisywał uczuciom pobożności; tymczasem Janek na tej drodze skarbił sobie względy Katarynki, której przyświecał swoją latarką w podróży do kościoła. Człowiek, pragnący kochania, zawadzi nieraz i o serce z lodu, a to może jest lepsze niż bezmyślnie namiętne rzucanie się ómy w płomień żywy. Nasz czwartoklasista był to kształtny, wysmukły brunecik, a grzeczny, a nadskakujący, przystojny brunecik—jeden z takich, których się lubi na rzut oka, bez zdania sobie sprawy, za jakie przymioty. Miał główkę małą, włosy nieco kędzierzawe, czoło

wąskie, uśmiech lekko głupkowaty, zalotny, a cały wyraz twarzy zdawał się przemawiać: „To jakiś miły człowiek!“ Był istotnie miły i na stancyi u Biskupicy jaskrawo odbijał od wszystkich żaków jako też od ich korepetytora. Ci wszyscy pensjonarze skwapliwie stronili od wody, mydła, grzebienia; nosili mundury zaplamione, spodnie wystrzępione u dołu, buty wykoszlawione, czapki bez podszewek i z daszkami połamanemi; koszule ich, o ile się wychylały z rękawów munduru, wyglądały jak urodzajna ziemia święta. „Ależ to istne warchłaki w barłogu!“ zawołał raz profesor Przeborski, który z urzędu miał obowiązek odwiedzać stancję Lodowskiej, a odznaczał się wielką starannością w ubiorze. U niektórych malców brud i atrament wrosły w palce i za paznokcie tak uparcie, że matki na żaden sposób nie zdołały tego wywabić w ciągu wakacyi. Głównie też po ukończeniu wydawania lekcyi przed korepetytorem rzucały się każdemu w oczy owe łapy wstrętne brudne, a napęczniałe od uderzeń linią, ponieważ je, jako zbolące, żacy trzymali zawsze na wierzchu przed sobą. Jeszcze osobliwie wyglądały twarze niektórych płaksów: brud i atrament rąk, dłonią wcierane razem ze łzami, tworzyły tu desenie cieniowane — coś w rodzaju jabłko witości u koni różnej maści. Umywanie, mianowicie w porze zimowej, stanowiło czezy obrządek zanurzania rąk w wodzie i oplukiwania policzków zlekka. Tylko Janek, obnażony do pasa, umywał się długo, cierpliwie, starannie — z namaszczeniem. Katarynka, już i tak zapracowana, napierana listami matek, wtrącała się niekiedy w sprawy czy-

stości ciała i odzieży; nie słuchano jej jednak, gdyż większość znaczna żywiła niezłomne przekonanie, że mężczyźni nie powinni ulegać kobiecie. Co się tyczy Łucki, nieporządek „studenciaków“ był dla niej rzeczą obojętną: uważała go za zupełnie naturalny. Majej, naczelnik stancyi, sam nosił się dosyć niedbale i wygląd brudny żaków nie raził go wcale. Panna Lodowska usiłowała zwalić na jego głowę i trud opieki nad utrzymaniem czystości wśród żactwa, a przynajmniej pragnęła zyskać poparcie na tem polu władnego korepetytora. Ale napróżno raz i drugi napomykała, że „bielizny uczniaków doprac się nie można;“ Stępowicz tak wyglądał, jak gdyby jej dawał do zrozumienia: „Robię, co do mnie należy; jednakże nie myślę być niańką i praczką tych dzieci.“ Więc wobec okoliczności bardzo sprzyjających bakterye niechlujstwa zamnożyły się na stancyi i, aby je wyplenić, potrzebna tu była jakaś nowa władza *ad hoc*. Czasem atoli, jeżeli ten stan rzeczy zahaczał już o któreś z praw szkolnych, inspektor brał w obronę ideę porządku i — trzeba przyznać — zawsze skutecznie. Na widok gorszącego braku guzików u munduru, albo — przydługich włosów rozkostrzewionej czupryny, zbliżał się do winowajcy z uśmiechem szatańsko-złowrogim, ze spojrzaniem zmijowatym i bez długich ceregieli zapraszał do komórki na „soczek brzożowy.“ Człowiek już z góry wiedział, że za taką „sprawkę“ czeka go i to niezawodnie, jak amen w pacierzu, uświęcone zwyczajem pięć odlewanych. Ból cielesny wytwarzał, naturalnie, gorycz duchową, uczucie ogro-

mnie niepożądane przez pedagogów; więc pan inspektor uważał sobie za obowiązek święty złagodzić ową gorycz, przemawiając do obitego głosikiem słodziutkim: „Kochaneczku, to ci się przyda! Nauczyłem cię, że prawa trzeba szanować... Zostaniesz obywatelem i nauczysz innych!“ Takie drobnostkowe kary nie wymagały współdziałania Jacka. Jeżeli to jednakże była chwila szczęśliwa, chwila rzadka, w której pan inspektor, już syt smagania, miał prawicę zbyt mocno spracowaną, wtedy cała sprawa kończyła się na tymczasowym ostrzeżeniu: „Nie igraj, bo się doigrasz! Rózcetka będzie w robocie!“ Tyle tylko powiedział, grożąc na swym nosie wielkim palcem, a człowiek już wiedział, o co chodzi. I to się zdarzało w takich razach, że pan inspektor w jaką godzinę po daniu ostrzeżenia, gdy sobie nieco wypoczął, zrywał się do czynu: wypukiwał żaka z klasy podczas lekcji i wiódł do komórki, ażeby prawu złożyć ofiarę. Bo dla czegoż miał czekać do jutra, skoro przekroczenie prawa nie podlegało najmniejszej wątpliwości, a sprawiedliwość i na chwilę zanęcić nie powinna? Tak czy owak, „kochaneczek“ bądź „rózcetką upomniany“, bądź „ostrzeżony“, brał dyskę od Katarynki, która sumę ową zapisywała niezwłocznie w rachunku ojca „na strzyżenie“, i pędził do pierwszego lepszego golibrody. Oj, byłóż nieraz dużo wydziwiania przy takim strzyżeniu! „Święci pańscy, jeszczeż też nigdy w życiu nie dotykał głowy tak zapługawionej!“ Przyszycie wszelkich guzików stanowiło jeden więcej obowiązek Dragona, ponieważ, według zdania pani Lodo-

wskiej, Katarynka, siostrzenica nieboszczyka biskupa, nie powinna—broń Boże—tykać żadnych guzików ubrania męskiego. „Nigdy, przenigdy na to nie pozwolę, ażeby się Kasia tak poniżała!“ Wstręt do czesania, powszechny u pensjonarzy na stancyi Biskupicy, można poniekąd usprawiedliwić godnym oplakaniem stanem, w jakim się znajdowały ich głowy młodzieńskie. Zaprawdę trudno było drapać twarde grzebieniem czaszkę, pełną guzów, zbolalą od prztyków koleżeńskich, poranioną w rozmaitych bójkach, upadkach, a przytem mającą uszy naddarte przez korepetytora i jakby przyklepione. Porządkowi w odzieży i utrzymaniu ciała ściśle odpowiadał brud i ogromny nieład w łózkach, kuferkach. Ileż to razy nie dojedzouy kawałek chleba z masłem, serdelek, piernik, ciastko chowaliśmy pod kołdrę, poduszkę, ażeby je dobrze ukryć przed oczyma drapieżnego a silniejszego towarzysza! On i tam niejednokrotnie dotarł, zabrał, zjadł rzecz znalezionej, a w dodatku cię wyśmiał. Zwoje szpagatu, rzemyki, fajerwerki, minerały, różne guziki, leżały w kuferkach poprzekładane bielizną. Fajki, tytuń, nieraz taki stary pistolet, proch, ołów ukrywano troskliwie w siennikach przed okiem zwierzchności, a nawet wśród pierwszoklasistów rzadki nie kurzył tytoniu w owe czasy. Pan inspektor wpadał niekiedy znienacka na stancję, zarządzał rewizją i miał u siebie w domu istny kram fajek pozabieranych żakom; pokrzywdzeni przez niego rozpuszczali plotkę, jakoby nigdy nie kupował tytoniu na własny użytek, gdyż mu wystarczały zapasy znalezione na rewizjach stancyi. Bogatsi kurzyli tak

zwany waksztaf, żuków i turecki; ubożsi—gelb-virginien, zwany w gwarze szkolnej wirginiuszem, albo nawet—drajkienig.

Ale powróćmy do Janka Łukowskiego. Celujący kaligraf i rysownik, trudnił się przepisami kajetów i odrabianiem rysunków za pieniądze, a otrzymywał obstalunki z klas różnych. Przy oszczędności miał zawsze z takich zarobków w kieszeni monetę brzęczącą na pomadę, wodę kolońską, rękawiczki, krawaty, spinki itd. Uczył się źle, nie miał ani chęci ani zdolności do nauki. Są gieniusze i talenty myśli, są inne—woli, charakteru—dlaczegożby człowiek, istota zdolna do wszystkiego, nie miał zostać gieniuszem lub talentem porządku. Kolega Madej powiedział raz żartem do Łukowskiego: „Zostań pokojówką, a będą cię przepłacali, pozyskasz sławę!” Mimo złe postępy w naukach, Janek znajdował pobłażanie u władzy szkolnej, ponieważ był bardzo porządkowy pod każdym względem, spokojny, przyzwoity. Oko inspektora, które umiało i w całym znaleźć dziurę, z przyjemnością zatrzymywało się na tej postaci w mundurze troskliwie dopiętym, doczyszczonym, z karkiem starannie wystrzyżonym, twarzą wygoloną—istny model formy określonej przepisami. Zachwycono się też nadzwyczajnym porządkiem ucznia, który przedstawiał profesorom kajety czystości niepokalanej, obłożone papierem, poprzekładane barwną bibułą angielską: wszędzie biało, różowo, błękitno, zielono, jak w sielance poety niemieckiego. Taki każe się lubić. A jak on pisał—sztych! Nauczyciel rysunków i kaligrafii, zwany nauczycielem obojga ka-

ligrafii, dusza zacna, łagodna, niezmiernie skłonna do uczuciowych wylewów tkliwości, rozplakał się jednego razu na widok dzieła Janka—kajetu ozdobnej kaligrafii, zapisanego rondem, gotykiem i literami lapidarnymi. „Posiałem mnogie ziarna—mówił wzruszony—a tylko to jedno wydało owoce wspaniałe!” Syn kaligrafii—rzec można... Janek, niby mnich średnio-wieczny, nie skąpił pracy, jeśli chodziło o wykończenie piórkiem wroniem i pędzelkiem jakich przesłicznych inicjałów, napisów. W trzeciej klasie przeważało go „majstrem cechu kaligrafii,” a dopiero w klasie czwartej znaleziono jeszcze odpowiedniejsze przezwisko: „Baletnik”. Również i Katarynka wzruszyła się pewnego dnia niezmiernie—ona, taka zimna—kiedy Janek ofiarował jej na imieniny deseń własnego pomysłu: przesłiczny szlak na chustkę do nosa, z cyfrą K. L., unoszoną w girlandzie przez dwa brzuszkwate aniołki. „Tylko na naszej stancyi umieją tak pisać!” wykrzykiwała panna Lodowska, a Łucka z otwartymi ustami o mało się nie przeżegnała znakiem krzyża na widok aniołków. Co prawda, Katarynkę łatwo było posądzić o wzruszenie, gdyż zawsze miała oczy napełnione wilgocią. Innym razem Janek przepisał był dla niej własnoręcznie na podarunek książkę do nabożeństwa, a do książki tej dodał dedykację, ozdobioną kwiatami, gołąbkami, sercami, i wewnątrz, między karty książki, włożył dwa fiołki zasuszone, związane wstążeczką różową, co mogło dawać wiele do myślenia. Uścisnęła za to wielokrotnie jego rękę obiema pulchnymi rączkami, odzianymi w rę-

kawiczki włóczkowe bez palców. „Jakiż pan jesteś uprzejmy, dobry! Dziękuję, bardzo dziękuję.“ Biskupica, widząc, co za podarunek otrzymała córka, rzekła nadzwyczajnie uroczyście: „Januszk, z ciebie będzie kiedyś wielki człowiek! Taki młody, a jednak umiał wybrać podarunek stosowny dla siostrzenicy nieboszczyka biskupa.“ W klasie przesiadywał bardzo spokojnie, jak trusia, i najczęściej zapatrzony na swoje paznogie. Nie rozmawiał nigdy z nikim, a kiedy go wyzwano do lekcji, przekonywał się z łatwością, że nic nie umie i wysłuchiwał uwag profesorów z poważną godnością i tak, jak gdyby je rzeczywiście gorąco brał do serca. Wogóle umiał siedzieć, stać, chodzić, kłaniać się, stosownie do wymagań danej chwili i okoliczności. Dwójki, to jest stopnie niedostateczne, odgrywały główną rolę w jego cenzurach; ale sprawowanie, czyli moralność Janka oceniano piątką, co znaczyło, że posiadał wszystkie cnoty pożądane przez szkołę. Piątka z religii, kaligrafii i rysunków wyrażała doskonałość, do jakiej tylko wznieść się można na ławie szkolnej w zakresie tych przedmiotów. „Wychowawca nie powinien wymagać od ucznia rzeczy niepodobnych, ponieważ za wielką ilość ludzi uczonych nie jest błogosławieństwem kraju, a mierniak tępawy może niezgorzej ciągnąć powszedni pług roboty społecznej“—odzywał się niekiedy pan dyrektor, jeżeli w gronie nauczycieli spostrzegął zapal do prześladowania tak zwanego osłostwa, skierowany do Janka. „Czyż koniecznie trzeba łamać sobie głowę nad wynalazkiem prochu, aby zostać użytecznym członkiem społeczeństwa?“ Pan

inspektor liczył się ze zdaniem dyrektora i przez szpary patrzył na dwójki, palki Łukowskiego; czasem jednak wsadzał go do kozy. Na stancyi jeden Janek miał swój stoliczek oddzielny; wszyscy malcy zamawiali do niego „panie“, podczas gdy on ich tykał. Stosunki z Madejem były przyjacielskie, chociaż niekiedy ostygaly cokolwiek, jeżeli naprzykład wyszło na jaw, że Janek w czasie pobytu stancyi na przechadzkach pił kawę u Biskupicy i Katarynki. W przekonaniu Stępowicza, który był kawalkiem Katona, zakrawało to na podlizywanie się studenciarkom. Taki Madej gotów był w oburzeniu cnotliwym nazwać kolegę wyrodkiem podłym za potajemne wypicie szklanki kawy.

Robota na stancyi szła głównie wieczorem, na parę godzin przed kolacją. Janek, wymuskany, owinięty w długi szlafrok, siedzi za stolikiem wsparty na łokciach—myśli. Gwar tu panuje taki jak w szkole żydowskiej, gdyż żacy uczą się, uczą lekcji zadanych i każdy głośno powtarza swoje. Ruda umysłowa—że tak powiem—przerabia się tu na różne gatunki myśli samodzielnej gwoli pożytku ludzkości. Pierwszoklasista zamrużył oczy, obiema dłońmi zatkał uszy, aby słyszeć tylko siebie samego, kiwa się jakby senny i uporeczywie wykrzykuje: „Jeż... jeż... *erinacaeus europeus... erinacaeus europeus.....* Ma grzbiet i boki pokryte kolcami... pokryte kolcami... Jeż... jeż... *erinacae...* Filarski, nie przeszkadzaj! Jak Bożię Kocham, pójdę na skargę!... Może się zwijać w kłębek... w kłębek... w kłębek... Filarski, nie zaczynaj!“ Drugoklasista znowu, wierząc zapamiętałe palcem

w nosie, uprawia historię starego Testamentu i wymrukuje: „Widząc Laban, że się Jakób stał mającym, zaczął mu tego mocno zazdrościć... zaczął mu tego mocno zazdrościć... Dyziu, przehandluj mi swoją piłkę! Dam ci za nią Machaona, Atalantę, Wstęgowkę ponsową i przez cały tydzień będziesz zjadał moje bułki na śniadanie.“ „Ee, niema głupich! Zięba mi dawał kawę, podwieczorki i gotówkę dyche, a nie chciałem.“ Tuż obok rozlega się niemczyzna, wygłaszana z niezmiernym naciskiem: „*Auf was-worau, auf das-darauf; aus was-woraus, aus das daraus; bei was-wobei, bei das-dabei.*“ Jakiś żak na końcu stołu usiłuje przekrzywić wszystkich i woła donośnie, jakby kramarz zachwalający na jarmarku swoje towary, albo—woźny podczas licytacji: „Uri, Szwyc, Unterwalden i Lucern!... Uri, Szwyc, Unterwalden i Lucern!... Cztery kantony leśne!“ Dokoła stołu przechadza się poważnie trzecioklasista, chłopak rośły, płowo-włosy, od czasu do czasu wytnie szcztka któremuś malcowi w tył głowy i, jakby nigdy nie, deklamuje z ogromną powagą: „*Proszło sto lat i szto ostaloś—Ot silnych, gordych sich mužej—Stol potnych woleju strastej?*“

Tymczasem z drugiej izby dolatywał tutaj grubo a wyrazisty głos Madeja, odbywającego właśnie korepetycje geometrii. O, tam szło ostro! „Kąt a plus kąt b są równe sumie dwóch kątów prostych; kąt b plus kąt c także są równe sumie dwóch kątów prostych... Że zaś dwie ilości równe trzeciej są sobie równe, więc... Śmigielski, które tu dwie ilości równają się trzeciej?... To tak uważasz, bałwanie?...

Nawet tego nie rozumiesz, że kąty można dodawać?... Dawaj łapę!“ I dało się słyszeć najprzód trwożliwe belkotanie żaka, a potem—trzykrotne trzaśnięcie linii w zetknięciu z dłonią malca—pac, pac, pac. Na te odgłosy wszyscy zamilkli i—z wyjątkiem Janka—zwrócili głowy ku izbie korepetytorskiej. „Zgadnijcie, ile łap oberwał już dzisiaj Śmigus?“ zapytał drugoklasista Dyzio. „No, dziewięć — wielkie rzeczy! Brało się już piętnaście i nie!“ odrzekł chępliwie trzecioklasista Krasociński, z przydomkiem „Lufa,“ który na stancyi dawał nieraz przedstawienia wytrzymałości: kładł się na łóżku do góry grzbietem, a dwaj najsilniejsi pensyonarze, Łęczycki i Sroczewski, walili go pyłami twardemi z ręczników.

— „Babo,—szepnął Puszkowskiemu na ucho Mirowski, drugoklasista i słynny obzartuch — kopnij-no się do kuchni, przespieguj, co dadzą dziś na kolację! Ty tam masz łaski i Dragon ci wszystko powie.“ Łucka powiedziała, jeżeli przypadkiem w zapale kucharskim nie poswarzyła się z Katarynką: wtedy bowiem wpadała w szał wściekłości, kleła straszliwie i gotowa była wyrzucić z kuchni nawet ulubieńca swego Laksanderka — tak nazywała Olesia Puszkowskiego. Naraz wszyscy przypomnieli sobie bliską już chwilę wydawania lekcji i w izbie znowu zahuczało jak w ulu.

W klasie Janek Łukowski zdawał się żyć najbliżej z Kaziem Kościańskim, chłopcem dobrym, tylko narownym, kapryśnym paniczykiem. Matka owego Kazia pozwoliła się być komuś przekonać, że konieczne powinna oddać jedynaka do szkoły publicznej

jeżeli z niego ma wyrosć obywatel kraju pełen męskiego hartu duszy. Można pani sprowadzić się więc do Kiele i posyłała syna do szkoły; ale nieustannie drżała na myśl, że Kazio przez obcowanie z lada kim w takiej klasie czwartej może się nauczyć mnóstwa „różnych niepotrzebnych rzeczy“ i skazać swoje dobre wychowanie domowe. Dyrektor, ksiądz prefekt, inspektor, profesorowie mieli utrapienie ciężkie z tą matką niepospolicie troskliwą. Codziennie nawiedzała już tego, już owego, i tak ich dręczyła, jak gdyby ci ludzie mieli obowiązek święty myśleć wyłącznie o jej Kaziu. Zwierzchnicy szkoły byli uprzejmi, mając na względzie pleć piękną, rodowitość, majątek znaczny i niemale znaczenie towarzyskie wdowy. Któżby lepiej od pedagogów umiał ocenić takie stosunki? Oni przecież nieustannie mają to na oku, ażeby w drodze wychowania zapewnić jednostce znaczenie społeczne i szczęście osobiste. Ale pani Kościańska pragnęła, aby ojcowie duchowi całego pokolenia wyrównywali jej sercu macierzyńskiemu w troskliwości o Kazia. Jeszcze jakoś najlepiej ndawało się jej z inspektorem: wszystko tu budziło otuchę, że mały dodatek, przydany na szalę, zupełnie przechylił na stronę dbałej matki lekko wahającą się jeszcze przychylność dostojnika szkolnego. W tym celu sprowadzono z lasów pani Kościańskiej olbrzymiego odynca, którego oficjaliści zastrzelili z polecenia dziedziczki, i wspaniałe zwłoki monarchy borów prosto zawieziono do domu pana inspektora. Naturalnie, jakieś pięćset funtów cennego mięsa odegrały niemałą rolę w wychowaniu młodego dziedzica Kościanej

Woli z przyległościami. Inspektor, zobowiązany i wzruszony, wziął żywo do serca już pierwszą prośbę matki, której właśnie chodziło o przesadzenie jednaka w klasie, a tem samem o uwolnienie go od towarzystwa niejakiego Forcia Złańskiego, chłopca „grubych instynktów i obyczajów,“ jak mniemała Kościańska. Ten Forcio dał raz Kaziowi w nos takiego szcztka, że krew siarczkiem popłynęła i z trudnością ją zatamowano. Gagatek mamusi dostał teraz za towarzysza ławy Janka Łukowskiego. Kościańska uszczęśliwiona nie wiedziała, jak ma wyrazić wdzięczność panu inspektorowi, gdyż Janek według jej zdania nietylko nie kaził obyczajów Kazia, ale wywierał nań wpływy zbawienne. „Młodzieniec porządny w całym znaczeniu tego słowa.“ To też w spiżarni inspektorskiej zapasy mięsa z dzika jeszcze się były nie wyczerpały, a tu już ze wsi przywieziono sarnę. Potem nastąpiły z kolei zajęczki, kuropatwy, cietrzewie, jarząbki, kwiczoły. Rzecz prosta, inspektor innem okiem spoglądał teraz na Janka i nawet go już do kozy nie wsadzał, wyrażając w ten sposób taką myśl niejako: „Niechże i tobie będzie lżej żyć, skoro przez ciebie dzieje mi się lepiej!“ A Łukowski chadzał w święta na wyborne obiady do pani Kościańskiej, którą sobie zjednał podobnie jak i Kazia, z czem mu było wcale dobrze. Na pauzach dziesięciminutowych Janek nieodstępnie widniał obok swego towarzysza; obaj zajadali soczyste kielbaski parowe, albo gorące ciastka z jabłkami, przysmaki cenne, niedostępne dla znacznej większości. Tłum maleców, chciwie łakomych owych smakołyków, jeno

się oblizywał, patrząc z upodobaniem i zazdrością na tych dwóch czwartoklasistów, którzy się wzajemnie wychowywali na porządnych obywateli kraju. Cóż teraz dla Janka znaczyła jakaś tam bułka z masłem, wydzielona przez Katarynkę? Rzucił ją na stancyi pierwszemu lepszemu głodomorkowi, mówiąc wspinałomyślnie: „Zjedz sobie!“ O taką bułkę nieraz krew przelewano, zwłaszcza jeśli padła na stole między Lufę i Mirowskiego, który z powodu żarłoczności miał przydomek „Rekin.“ Jakże się teraz ubiegano o łaski Janka!.. Zanim Łucka wniosła do izby tacę z bułkami przeznaczonemi na drugie śniadanie do szkoły, oczy wszystkich zwracały się ku temu, który miał do rozdania swoje dwie bułki z masłem. Najwięcej wyrazu miały oczy Rekina: każde jego oko, gdy spojrział, składało się jaknajwyraźniej z kółka białego, z kółka bladego - niebieskiego i kółeczka czarnego. Oleś Puszewski, Baba, miał oczy piękne, wielkie, łzawe—oczy łani umierającej: z tych oczu znać było, że one nie docisną się do rzuconej bułki. Albo największy siłacz, albo zuchwalec, albo chciwiec porywali owe bułki—zupełnie jak w życiu. Dziś rzeszę głodnych trudno nakarmić małą ilością chleba.

Łucka nie mogła wyjść z podziwu, że Janek od jakiegoś czasu prawie nic w domu nie jada, a miała ona bardzo wysokie wyobrażenie o smakowych zaleczeniach potraw, które przyrządzała własnymi rękoma, i mówiła: — „Już mu nie smakuje nawet rosół na wieprzowinie z kartoflami... Gdzież on co lepszego zjeść może?“ Lodowska dowodziła, że Kościańska zaprasza Janka do swego domu jedynie przez wzgląd

na nieboszczyka biskupa. „Bo każdy uczeń, który mieszka u mnie na stancyi, ma zupełnie inne uważanie w świecie.“ Madej jednak kręcił coś nosem i zwracał koledze uwagę: „Jadasz obiady u panów, których nie możesz zaprosić do siebie na obiad... Taka darmochocha nie uchodzi!“ Wykręcał się Janek, jak mógł, gdyż Stępowicz, stary kolega, zawsze nań wywierał jakiś wpływ tajemniczy—rzec można—gospodarował w jego duszy. Ale trudno się wyrzec smacznych obiadów, które się nie podobają przyjacielowi może dlatego, że ich nie jada. Węzły przyjaźni, stosunków z ludźmi krępują nieraz człowieka i nakazują niejako żyć podług cudzej etyki; atoli skłonności i tak przemogą ostatecznie, aby uratować samolubstwo indywidualizmu jednostki.

Na leszły zapusty; u pani Kościańskiej odbywały się lekcye tańców i Janka zaproszono, aby także wziął w nich udział dla kompletu. Pokazało się niestety, że Łukowski ma również w nogach talent do rysunków i kaligrafii. Wyrabiał on nogami przesliczne esy floresy i tanemistrz, zachwycony raz jego postępami w pługach, zawołał z uniesieniem: „Posadzka tego salonu jest dla pana polem za małym! Człowiek z nogą tak lekką, śmiałą i zręczną może sobie zjedynić podziw i uwielbienie tysięcy ludzi. Trzeba tylko dolożyć pracy, wydoskonalić talent przyrządzony! Sława uśmiecha się do pana, wyciąga ręce, jak do wybrańca swego.“ Janek, uśmiechnięty, stojąc w trzeciej pozycji, z jedną ręką na piersiach, z drugą przy boku, podniósł do góry swą małą główkę, na której uczuł jak gdyby wieniec wawrzynowy. A tanemistrz

rzekł uroczyście: „Wstąp pan do baletu! Znam się na nogach i za przyszłość świetną zaręczam słowem honoru.“ Słowa te rozniosły się w szkole i odtąd Łukowskiego nazywano „Baletnikiem.“ Poczciwy Janek, ile razy zasiadł przy stoliku z zamiarem przygotowania się na lekcye do szkoły, a miał pod ręką ołówek, czy pióro, zaczynał natychmiast rysować, kaligrafować i na tem mu cały czas schodził. Nim zaczął brać owe lekcye tańców, z pod ręki jego wychodziły zwykle główki męskie i żeńskie; męskie przypominały zawsze rysy twarzy jego własnej, którą dobrze znał, ponieważ często widywał w zwierciadelku. W rysunkach owych, kreślonych prawie bezwiednie, autor zwracał głównie uwagę na porost włosów. Były tam więc głowy krótko strzyżone i tylko z wąsami, inne o czuprynach bujnych a z młodzieńczym zarostem pod nosem i na brodzie, jeszcze inne—trefione podług ówczesnej mody z rowkiem przez sam środek, od tyłu aż do czoła, a zdobne w wąsiki i bokobrody i t. d. Obecnie, kiedy już tak szczęśliwie poszła mu nauka płasów, rysował nogi nieustannie i w najrozmaitszych położeniach: nogi posuwające się w kadrylu, podskakujące, przytupujące, wybijające holubca w mazurze i t. d. Madej, który sobie wyobrażał, że mężczyzna jest to Hannibal, Aleksander Wielki, Gonzalw z Korduby, Bajard, Konrad Walenrod, Litawor, z pogardą spoglądał na rysowane przez kolegę główki i razu jednego zawołał: „Fryzyerstwo!“ Z podobną pogardą wyrażał się o wszelkich płasach: „Froterka, bezmyślne fikanie!“ Ci dwaj koledzy, przyjaciele,

mieli odmienne ideały: co jeden kochał, tem drugi pomiatał.

W czasie ostatnich dni zapustnych, pani Kościańska wyprawiała bal dla dzieci, a zaproszono na tę ucztę rodzinę dyrektora szkoły i rodziny profesorów, mające działwę w wieku, który czyni człowieka zdolnym do żwawych podskoków. Baletnik przybył na bal i, wystrojony, wonny, fruwał jak huraganem unoszone piórko, gdyż cały zapal duszy młodzieńczy przelewał w nogi. Uważał on sobie za obowiązek wysoki tańczyć głównie z panną dyrektorówną, miluchną dwunastoletnią Maniusią, tanecznicą zawołaną. Pan dyrektor, mąż wzrostu wysokiego, bardzo poważny—nawet posępny—krótkowidz, prowadził właśnie na boku zawziętą rozmowę z profesorem Bożykowskim o budowie wszechświata, kiedy nadeszła pani dyrektorowa i szepnęła mu na ucho: „Mężusiu, przecie też popatrz, jak nasza Maryuka prześlicznie tańczy!“ Na to wezwanie, dyrektor przerwał rozmowę, poważnym krokiem zbliżył się ku sali balowej, włożył na nos okulary i widział rozpromienioną Maniusię, która hasała w objęciach Janka. — „Powinszować, powinszować panu dyrektorowi takiego ucznia!“—mówiła z wdzięcznym uśmiechem prezesowa, chłodząc się wachlarzem. Były pijar, surowy jak matematyka, której się oddawał, i jak ona ścisły dyrektor mniemał, że prezesowa, chwalać Janka za zręczność w tańcu, godzi złośliwie w szkołę; więc spokojnie i z godnością odparł pocisk dwuznacznikiem:— „Z naszej szkoły przybyli na dzisiejszy balik tylko ci, którzy zasługują na uznanie i pochwałę pani prezesowej.“

Odrzucił się i szedł kończyć przerwana rozmowę z Bożykowskim, a w jego myśli, zwróconej ku ciałom niebieskim, Janek przewijał się niby planeta wirująca, której księżycem była Maniusia. „Osieł!... Jest już ósmy rok w szkole i nie przekroczył poza czwartą klasę.“ Gniewało to pana dyrektora, że musi myśleć o Janku, uczniu, którego właśnie w bieżącym roku szkolnym należało zobowiązać, ażeby sobie wziął patent niższy z ukończonych klas czterech i wstąpił do apteki — może do seminaryum — jako niezdolny korzystać z wykładów matematyki w klasach wyższych. Wawrzyny salonowe Janka rozgoryczyły także Kazia Kościańskiego, który nie okazywał ani chęci ani zdolności do tańca; ale podobała mu się nadzwyczajnie panna dyrektorówna i z nią byłby tańczył bardzo chętnie, gdyby nie to, że, zapraszana do tańca, odmawiała każdemu, oprócz Łukowskiego. Otóż, Kazio zawział się i wcale nie chciał tańczyć, okazując jawnie swoje niezadowolenie. Upominała go matka: „Bądźże uprzejmy, jesteś gospodarzem zabawy, bierz przykład z Janka, przypatrz się, jaki on swobodny, jak ożywia towarzystwo!“ Chłopiec do reszty wezbrał i wybuchnął: — „Ja nie chcę, ażeby mię za tańce wychwalano! Nie myślę być baletnikiem!“ Przecież takie kwasy, muchy w nosie mogły popsuć całą zabawę; przeto uprzejma gospodyni zobowiązywała Janka, ażeby nie ustawał w ochocie i swoim zapalem podtrzymywał zapał młodzieży zebranej. Wywiązywał się z zadania jaknajlepiej i całą pleć piękna z zachwytem nań spoglądała. „Cóż to za miły, przyjemny młodzieniec!...“ — dawało się słyszeć na wszystkie strony.

O, bo w owych czasach bardzo zwracano uwagę na to, czy młodzieniec umie dobrze tańczyć, kłaniać się z wdziękiem, a i — pisać kaligraficznie! Po ukończeniu szkoły średniej niewiele zawodów miało się do wyboru i jakiś pęd powszechny gwał młodzież głównie do służby biurowej. Biura urzędów rozmaitych pochłaniały całą armię wyzwolonych ze szkoły. Bardzo a bardzo nieliczni rzucali się gdzieś daleko w świat na uniwersytety, ponieważ dla żądnych wiedzy wyższej istniała w Warszawie tylko Szkoła sztuk pięknych, a w Marymoncie — Szkoła rolnicza. Zawód urzędniczy pachniał nawet osiadłemu na roli szlachcicowi, który ucuwał pod sobą grunt niepewny. To też trudno było docisnąć się do owych biur, zapchanych przez tłumy aplikantów bezpłatnych i płatnych, dyetaryuszów, kancelistów. Kobiety jednakże zwykle, jeśli nie zawsze, ułatwiały przystęp, choć nieraz wydawał się niemożliwym. Droga zaś do kobiet, to jest do ich względów, stała zawsze otworem, podobnie jak i dzisiaj przy nieco większych wymaganiach dla każdego, kto im się podobał: miał „powierzchność“ przyjemną, dobrze tańczył i był miły „w obejściu.“ Ztąd to pochodzi przysłowie, które dzisiaj poniekąd już kurs utraciło: „Dorobił się nogami posady.“ Ba, wtedy i żonę posażną łatwiej było sobie wytańczyć! Czasy idealniejsze, jak wogóle każda przeszłość!

Obecnie istnieją urzędy, biura; ale ówczesny typ urzędnika swojskiego tak zupełnie zanikł, jak zniknęły i warunki sprzyjające rozwojowi wszystkich cech jego gatunkowych. Rodzina urzędnicza w czasie teraźniejszym nie może się już nawet tak zamknąć,

wyodrębnić, gdyż i na prowincyi przenikają do niej pierwiastki ogólniejszego życia ludzkiego. Tamten świat skończył się raz na zawsze, miał chwilę swego załamania, w której przepadli wszyscy kandydaci, urobieni podług starobylego wzoru. Życie nie lubi typów skończonych, rozwała je, przerabia na nowe, które z kolei rzeczy także przepadną, choćby stawiały opór jaknajcięższy: prawo przemienności gatunków działa stale, nieprzeparcie i wszędzie.

Madej i Baletnik, jako koledzy, spotkali się byli i zaprzyjaźnili najprzód w klasie pierwszej, a rozdzielili się zaraz w następnym roku, ponieważ Janek nie dostał promocyi. Ale że Stępowicz musiał powtarzać klasę drugą, więc w drugim roku doczekał się w niej Łukowskiego i znowu siedzieli obok siebie na jednej ławie, utwierdzając poprzednio już zawarte stosunki przyjacielskie. Rozmaite wspólnie przeżyte cierpienia w komórce, zatargi z profesorami i kolegami, wreszcie właściwa młodemu wiekowi potrzeba otwierania serca i zwierzenia się przed kimś były to klejnoty cenne, prawie codziennie wrzucane do skarbca przyjaźni szczęśliwie skojarzonej w klasie pierwszej. Nie było tam owych cnót, które kaznodzieja Cýcero uważa za warunki przyjaźni; ale przyjaźń była z pewnością. Dwa bieguny różnoimienne przyciągały się doskonale: Janek—bierny, milczący, spokojny, obojętny na wszystko, co go otaczało; Wojtek—energiczny, myślący, gotowy w razie danym czuć, myśleć i działać za przyjaciela. Cóż kiedy w następnym znowu roku Madej przeszedł do klasy trzeciej. Janek pozostał w drugiej! Lgnęli i tak do siebie nawzajem,

utrzymywali ciągle stosunki przyjacielskie: jeden drugiego zwykle odprowadzał po lekcjach do domu, odwiedzał podczas rekreacji, a bardzo często chodzili razem na Kadzielnię, na Karczówkę. Łukowski prawie zawsze milczał, niekiedy tylko uśmiechał się zalotnie, niemniej kochał szczerze przyjaciela, ulegał mu we wszystkim i, jak to mówią, w ogień poszedłby za niego, gdyby zaszła potrzeba. Rok przeszedł im w rozłące; ale w roku następnym skojarzyli się po raz trzeci, gdyż Madej i w tej klasie musiał pokutować dwa lata: zatrzymały go—pałka z niemieckiego, pałka z mineralogii i dwójka z geografii. Świder miał jaknajgorsze przekonanie o Stępowiczu jeszcze od klasy pierwszej, zapisywał mu stale pałkę z niemieczyny, pałkę ze sprawowania, a dodawał: — „Tobie, duchu kanalski, należałoby zapisać pałkę z minusem, najwyżej—zero.“ Czemże się mógł taki spokojny Wojtek narazić Świdrowskiemu? Musimy to opowiedzieć. Świder wymagał, ażeby każdy uczeń miał oddzielny zeszyt i w nim zapisywał przysłowia niemieckie, zwroty właściwe temu językowi, dowcipy i t. d. Porządek taki należał do „systematu“ i profesor kładł wielki nacisk na ów zeszyt, zwany przezeń *Taschenwörterbuch*. Kto nie zdołał na lekcję języka niemieckiego przygotować ani przysłowia, ani zwrotu dobrego, ani dowcipu, ten miał obowiązek napisać trzy zdania, ułożone z wyrazów, których znaczenie rozumiał. Otóż, Stępowicz nigdy nie mógł zdobyć się na coś podobnego i zwykle w klasie dopiero ktoś bieglejszy wypisywał mu naprędce takie zdania. Pewnego dnia jednak zamierzył pokonać trudności i za-

siadł do roboty, gdy niejaki Kulewicz, czwartoklasista i współpensjonarz, przyszedł z pomocą, mówiąc: „Żeby tu dziesięciu takich jak ty Wojtków łamało sobie głowę, toby też nie wymyślili nic mądrego!... Dawaj swój *Taschenwörterbuch*, a wpiszę ci takie zdania, że dostaniesz od Świdra piątkę z plusem!“ Kulewicz umiał po niemiecku, więc Stępowicz podsunął mu skwapliwie swój zeszyt, a sam wziął się do odrabiania innej lekcji. Trzy zdania, które czwartoklasista wpisał, brzmiały: *Unser Lehrer der deutschen Sprache heisst Bohrer. — Der Bohrer ist dumm wie ein Esel. — Der Bohrer ist böse wie ein Teufel.* Trzeba zdarzenia, że Świdrowski „wyrwał na pierwszy ogień“ Wojtka i natychmiast kazał przedstawić sobie *Taschenwörterbuch*. Ze zgrozą odczytał profesor owe trzy zdania, potem wpił w ucznia jaszczurecze spojrzenie i z ust drgających złością wypadły słowa: „Aa ty bęcwałe, duchu kanalski!..“ I wyskoczył z katedry, przypadł do chłopca, chwycił go oburącz za uszy, trząśnął jego głowę zapalczywie. Nie skończyło się na tem, nastąpiła surowa kara szkolna: dziesięć różg chłosty i dziesięć godzin kozy ciemnej. Biedny Madej nie wiedział, co mu Kulewicz napisał w zeszyt, Świdrowski zaś mścił się przez lata, gdyż był bardzo pamiętliwy. Palka z mineralogii miała znowu tę przyczynę, że Wojtek nie umiał „szklić“, wydawał lekcję, mówiąc powoli, bez prędkiego trzepania, a nawet z zająkaniem. Zwracało to uwagę Świąteckiego, wyrywało go z zadumy i budziło w nim podejrzenie, że się uczeń nie przygotował na lekcję.

— A co, panie?... Kruku morski, nic nie umiesz! Wykrzykiwał Hornblenda i zapisywał palkę.

Pan dyrektor ogromnie wydziwiał z tego powodu:

— Widać, żeś jest nicpoń, próżniak ostatni, skoro nawet z mineralogii masz postęp mały — z przedmiotu, którego się i największe osły uczą bardzo chętnie!

Ostatecznie nie dostał promocyi, doznał od stryja bardzo surowego przyjęcia:

— Ojca ci zastępuję, więc musisz, nygusie niegodziwy, poczuć ojcowską rękę!

Swoją drogą dyscyplina była w robocie, a swoją — organista, który wcale nie umiał po niemiecku, przez całe wakacje gnębił Wojtka tembardziej językiem niemieckim; tylko teraz okazywał już mniej pochopności do wszelkiego bicia, gdyż szesnastoletni chłopak miał rękę silną i twardą jak żelazo. W tym roku pamiętnym wstąpił był do klasy trzeciej nowicyusz Leoś Krukowski, o którym mówiono, że świetnie złożył egzamin, i zarówno profesorowie jak koledzy mieli go za nadzwyczajną zdolność. Żywy, ruchliwy, wesoły blondynek, zawsze z jakąś pioską na ustach albo deklamujący z uniesieniem jakieś wiersze, wniósł między szorstkich i gburowatych trzecioklasistów nieznaną im pierwiastek literacko-artystyczny. Przemawiał dowcipnie i rozśmieszał, bawił kolegów, był w stanie deklamować albo opowiadać coś przez całą godzinę, używając języka książkowego i zjednywał sobie serca, podbijał umysły. Los zrządził, że Krukowski na początku

roku szkolnego zajmował miejsce w ławie po prawicy Stępowicza, podczas gdy Łukowski siedział z lewej strony. Jak to bywa na jednej ławie, człowiek człowieka potrzebuje nieustannie gwoli wymiany usług wzajemnych: sąsiad sąsiadowi podpowiada lekcye, ostrzega go o wiszącym nad głową niebezpieczeństwie, zwraca mu uwagę na zachowanie się profesora, kolegów i t. d. A Leoś bardzo tego potrzebował, ponieważ był próżniakiem skończonym, przynosił sobie zawsze do klasy jaką książkę i czytał podczas lekcyi, czego — naturalnie — surowo wzbraniały prawa szkolne. Na takiej drodze przyszło do zawiązania ściślejszych stosunków koleżeńskich, a ztąd do przyjaźni już niedaleko Krukowski stanowił w klasie trzeciej istotną osobliwość nie tylko dlatego, że książki czytywał, że umiał na pamięć mnóstwo wierszy, że mówił językiem książkowym; ale był „jakiś-taki“ — jak się wyrażał Wojtek w rozmowie z Jankiem. Na liście uczniów zapisano go „Leon Krukowski“, a on się podpisywał „Leon Marya Retzer Krukowski“, co w ten sposób objaśniał Stępowiczowi:

— Mój ojciec nazywał się Krukowski; ale matka wslawiła się jako artystka dramatyczna pod nazwiskiem „Retzer“... Ja, widzisz, muszę sławie matki dać pierwszeństwo przed herbem szlacheckim ojca... A co się tyczy imienia „Marya“, które połączyłem ze swoim, należy ono do jednej uroczej panny, będącej „panią mojego serca“. Wojtek z wielkiem zdziwieniem słuchał, kiedy Leoś bardzo poważnie rozprawiał o miłości dla płci pięknej; tylko Janek, zwykłe tak obojętny na wszystko, coś sobie

lubował w takich rozmowach i z przymrużeniem oczyma, naiwnym uśmiechem na ustach, słuchał uważnie wywodów Krukowskiego: widocznie to jedno trafiło mu do przekonania. Z tem wszystkiem, choć do przyjaźni było blisko, przyjaźń nie stanowiła jeszcze musu w trzech młodych sercach trzecioklasistów i zakwitnęła dopiero później w warunkach podatniejszych dla swego rozwoju. Obecnie Wojtek od czasu do czasu w rozmowie z Jankiem dawał się słyszeć:

— Czy ty uważasz, że ten Leoś jest jakiś taki?..
Sam nie wiem, jakby to powiedzieć...

III.

W wychowaniu człowieka młodego wielką rolę odgrywają zajęcia, upodobania, nałogi, namiętności rodziców, nauczycieli, towarzyszków, rówieśników. Bo to, co człowiek ukocha w dzieciństwie, nadaje kierunek jego duszy i stanowi zawiązek późniejszej działalności: na tem się osnuwają dzieje żywota jednostki ludzkiej. Wprawdzie nie zawsze wychowanka unosi taki sam prąd, jaki nań oddziaływa, — dusza przerabia go na swój własny, częstokroć zupełnie inny; niemniej owe wzory pierwotne pozostają w związku przyczyny do skutku. Punktem wyjścia jest: koniecznie trzeba coś pokochać szczerze. Z dobrą wiarą można młodzież koszlawić, wykrzywiać, unieszczęśliwiać, ale tylko zera obojętne na wszystko nie wyrzą żadnego wpływu, nie rzucą w niczyją duszę ziarn stanowiących *pabulum vitae*. W tradycjach ludzkości już tkwi, że najlepiej ożywione zapalem jednostki

nieustannie przekazują potomnym miłość bliźniego, ziemi rodzinnej, przyrody, sztuki, wiedzy, pracy, cnoty, idei. I tylko po tej drodze kroczy rozwój wychowawczy ludzi, mniej lub więcej wszechstronny, zwany postępem.

Pani Łukowska, radczyni, matka Janka—jak na Kielce — była to kobieta światowa, zamilowana w balach, zabawach, przyjęciach, o ile tylko żona urzędnika na prowincyi, posażna z domu, mogła sobie pozwalać tego. Ubrać się pięknie, zwracać na siebie uwagę, jaśnieć, tańczyć—bardzo przyjemne zadanie życia. Naczelnikowa była stara, prezesowa—otyła, mecenasowa—zezowata, dyrektorowej mąż nie pozwalał na stroje; więc radczyni z jedną sędziną ubiegała się o palmę pierwszeństwa i ostatecznie zwyciężyła przed śmiercią. Sekretarze, kanceliści, dependenci, aplikanci na wyścigi uprzedzali skinienia, zgadywali myśli pięknej królowej balów. Niejeden zawdzięczał jej posadę jakiego pomocnika, referenta, asesora, kasjera, delegata. Tańczyła, bawiła się na cele dobroczynne i, bez żadnych celów. Zabawa nigdyby się bez niej nie udała, gdyż ona była duszą zabaw. Zajęcia domowe, powszednie, nudziły ją; nie umiała gotować, szyć, prać, robić porządków w domu i nie miała chęci uczyć się takich rzeczy. Czytać książki? Można czasem z nudów. Ożywiała się dopiero przy jarzącem świetle kinkietów, przy dźwiękach muzyki balowej, a istotnie żyła w wirze tańca. Śpiąc, marzyła o szczęściu, jakim duszę jej napełniały płąsy. Co za rozkosz płynąć i płynąć z wirem walca w objęciach tancerza a w takt muzyki! Szkoda tylko, że się

to kończy i pozostawia po sobie pragnienie w marzeniach! Pani Łukowska przyplaciła śmiercią namiętne zamilowanie do tańca: biedaczka zaziębiła się w zapusty i nie doczekała postu. Dobrze, że umarła z całym jeszcze urokiem piękności balowej, gdyż za kilka lat oczekiwała ją śmieszność, jak każdą starą babę, która lubi „potrząsy“. Zgasła świetna gwiazda salonów kieleckich. Mąż jej, ojciec Janka, był kiedyś także zawziętym tancerzem: przedtem, nim sobie wytańczył żonę z posagiem i awans służbowy; później dawał się często słyszeć: „Nogi mi spodłaly!“ Miał jednakże oczy bystre i zawsze w samą porę przygotował umiejętnie tranzlokację dla takiego, który zbyt skwapliwie i zanadto utrudzał panią radczynię tańcem. Wynagradzając sobie zerwanie nóg, radca oddawał się głównie rozkoszom życia połączonym z siedzeniem: cały czas wolny od nieznaczących zajęć biurowych przepędzał w handlu win albo — za stolikiem zielonym. Pokochał namiętnie śniadanka, obiadki, kolacyjki i codzienną pułę tak, że nigdy nie miał już wolnej chwilki czasu na coś innego. Starannie wygolony, w cylindrze na lewem uchu, z laseczką opartą na prawem ramieniu, troskliwie ubrany, był Łukowski wzorem owej tężyzny urzędniczej, co to do tańca i do różańca. Z miną gęstą wychodził codziennie z domu rano około dziesiątej, czy jedenastej, co zależało od tego, o której do domu powrócił. W ustach jego bardzo często były te słowa: „My, ludzie pracy państwowej, nie mamy nigdy jednej chwili wypoczynku“. Można go było znaleźć w biurze napewno wtedy tylko, kiedy wyplacano pensye, a w razie potrzeby

naglej poszukiwano go i znajdowano niezawodnie w handlu win u Maińskiego. Zona nie robiła mu nigdy wyrzutów z tego powodu, jak gdyby rozumiała, że nie należy brać za złe żeglarzowi, gdy się puszcza na morze. Taki handelek na prowincyi do dnia dzisiejszego niewielkiej uległ zmianie; społeczeństwo bowiem, jak przyroda, starannie dba o wszystko, co jest użyteczne. Zawsze ta sama izba brudna z długim stołem sklepowym, na którym są wagi sprawiedliwości handlowej, szpagat, bibuła, nożyce, pudła fig, rodzynków, daktyli, migdałów. Dokoła ścian wznoszą się szafy pełne butelek, słoików, paczek — wszystko to opatrzone etykietami barwnymi, złocistymi, aby oczy zachęcić, zanim zęby i język przedsięwezmą próbę. Na ziemi stoją kosze cytryn, pomarańcz, jabłek tyrolskich, winogron, orzechów kokosowych. Za stołem krzątają się sklepowi, pucolowaci, rumiani, z palcami brudnymi, lepkiemi: oni się także uczą, kształcą umysł i serce — przyszli kupcy, bez których niema cywilizacyi. Przewodniczy im tak zwany pryncypał, człowiek zwykle gruby jak hipopotam. Powietrze tchnie wonią goździków, pieprzu, imbiru, gałki muszkatołowej, z przymieszką zapachu octowego i sera szwajcarskiego. Ze sklepu wchodzi się zwykle po schodkach do izb brudnych, ciemnych, zatęchłych, z meblami krytymi ceratą, przyozdobionych „kopersztychami“, które wyobrażają już Lolę Montez, już wiązkę ryb na sznurku wiszących, konia arabskiego, bitwę pod Wagram, Fausta i Małgosię, księcia Józefa spadającego z koniem w rzekę. Wła-

śnie pan radca nadchodzi: stanął na chwilę przed szybą sklepową, przeczytał napis „dziś flaki“, rzucił okiem na wystawionego w oknie homara i wstąpił w progi. Znać po nim, że on tu jest bywalec: wszyscy na migi rozumieją jego życzenia, rozkazy. Skinął tylko głową i sklepowy zaraz poskoczył przygotować „ćwiartkę“ kawioru z cebulką, z sardynką—tak, jak pan radca dobrodziej lubi na przekąskę po wódce. „Jak raz południe i wszelka dusza chrześcijańska łaknie kieliszka gorzałki“. Po wódce bigos i „połówka“ portu.

— Cóż się tak patrzysz? Pewnie bigosu nie ma?... A zapowiedziałem, że bigos — raz na zawsze!

— Choć nie ma, dla pana radcy być musi!

— Potem — cielęca, koniecznie, „przy nerce“, albo comber barani, a może — ptak jaki i do tego „wino swoje“ i kawałek sera szwajcarskiego. Na zakończenie — kawa czarna, kieliszek rumu Batawia, no i cygare takie jak zwykle. Niech sobie tam mówią, co chcą, a ja takiego bigosu w domu mieć nie mogę! Śniadania, za które płacił „interessant“, różniły się cokolwiek od zwykłych śniadań pana radcy.

— Tylko, jeżeli ma być starka, niechże będzie rzeczywiście!

— Kawior?...

— Ma się rozumieć, ale i ostrygi: jedno i drugie przecie z wody.

— Barszczyk z kielbaskami?

— I owszem, tylko żeby to było esencjonalne i...

i. . koniecznie z pulpecikami... Powiedz tam kucharzowi, że to ja!

— A jakże szanowny radca dobrodziej radzi—cóż zjemy na pieczyście?...

— Indyk, kapłon - może bażant? Zające, sarnina już się przejadły!

— Święta prawda! Indyk — myśl znakomita! Tylko, mały, zapowiedz kucharzowi, żeby podał indyka, jak należy!... Trufle w nadzieniu gęsto-oo!

— Panie radco, na indyka przyjdzie długo czekać! Możeby w środek wstawić jaką rybkę?

— Dobry pomysł! Cóż się zaś mamy opychać samem mięsem? Później człowiek z tego ciężki, sapię... Ale to będzie, widzę, obiad, a w takim razie musi być i coś słodkiego... Coby tu?... Acha, szarlotka! Taka... taka... Kucharz tam już będzie wiedział.

— Powiedzcie-no, panowie, bo wyście tu miejscowi, jakie wino będziemy pili? Żeby tak coś lepszego...

— Ee, skromnie, kochany dziedzicu. Dla pepiania przy jedzeniu prawie będzie to na dukacika... Chyba potem na deser — buteleczkę maślaczyku, chociaż, chociaż...

— No, no, nie ma chociaż!... Pan radca—amator dobrych cygar, prawda?

— Cóż się mam wypierać? Wino i cygara są to dwie moje słabości.

— Znalazłaby się jeszcze trzecia...

— Oho, jak to zaraz znać pana, dziedzica na wsi wypoczętego! Figle mu w głowie! My tu nie

szlachta-ziemianie, musimy ciężko pracować na kawałek chleba.

W ślad za tem sypią się anegdoty tłuste, dowcipy różne, gdyż wpadli na przedmiot rozmowy nigdy niewyczerpany. Kto „ubijał interes“, wiedział z góry, że po obiadku gra się w karty i—dobro interesu nieuchronnie wymaga, ażeby zainteresowany przegrał tymczasem pewną ilość pieniędzy, którą mu ubity interes zwróci później razem z zyskami. Szło się przeto na karty, zapowiadając jak najwyraźniej Maińskiemu:

— Około północy przyjdziemy tu na kolację!

— Polecamy się względem jaśnie pana dziedzica! Odpowiedział Maiński, pochylając głowę z powagą i zarazem wdziękiem właściwym kupcowi „korzennemu“. Jeżeli taki interesant przegrał w karty mniej niż tego wymagał skuteczny przebieg interesu, to zasiadano zwykle do gry jeszcze po kolacyi. Gdy się atoli zdarzyło, że przegrał wiele, w takim razie czyniono mu tylko zrzęcznie i mimochodem napomknienie:

— Możeby wpaść do Wajsa i przekonać się, czy on też jeszcze ma to wino, którego butelkę sprzedaje po dwa dukaty, a można za nią dać trzy i pół z pocałowaniem ręki?

I za każdym razem przekonywano się, że Wajs ma tego wina jeszcze „ostatnie trzy, czy cztery butelki“, a za żadne pieniądze nie sprzedałby ich nikomu, tylko jednemu panu radcy. Wypijali wino, rozprawiając, że Wajs jest kupcem, a „nie wie, co ma, i okrada samego siebie“.

Otóż, pan radca, zawsze obarczony brzemieniem interesów, znalazł jednakże tyle czasu, ażeby Jankowi dać życie i nazwisko, w czem—należy przyznać—wzięła niemały udział i pani radczyni, także bardzo zajęta. Ojciec i syn widywali się bardzo rzadko. Czasem atoli z kolei rzeczy wypadło, że radca usiłował być przyjemny dla żony i wtedy zasiadał w fotelu, szczypał malca lekko w policzki, mówiąc:

— Korciu, pysznie nam się chowa mały! A innym razem brał chłopczyka na kolana i podrzucał: „Oj ty-ty durniu! Ty-ty-ty“!... Najprzód mamka, później niańka, wychowywały jedynaka, dokładając wszelkich możliwych starań, ażeby „Siutio zawsze był grzeczny i siedział cicho; bo przyjdzie stary dziad, zabierze go do torby“... A nie, to „wilk zje, kominiarz do komina wsadzi“. Mamusia również bardzo sobie życzyła spokojności synka:

— Kto płacze, hałasuje, ten jest be... Trzeba być cicho—caca!

Szkoła Pitagorasa podobno przez milczenie przygotowywała uczniów do mądrości. Ukończył cztery lata życia, był nadzwyczajnie grzeczny, to jest spokojny, cichy jak trusia i wtedy mama zaczęła się nim więcej zajmować. Miała, naturalnie, własny ideał dobrze wychowanego człowieka, który teraz usiłowała urzeczywistnić. Ubierano malca w trzewiczki, pończoszki, krótkie majteczki, w bluzkę różową, już błękitną; u boku zawieszano mu piękną torebkę na chusteczkę do nosa, a włoski długie zawijano na noc w tak zwane papiloty. Mamusia nieustannie nauczała teraz synka trzymać się prosto, siedzieć przy stole przyzwoicie, władać zrzęcznie łyż-

ką, widelcem, nożem, mówić „proszę“ i „dziękuję“, a nadewszystko kłaniać się z wdziękiem. „Bo po czem że ludzie poznają dobrze wychowanego młodzieńca?... Żebyś kiedyś nie potrzebowała się za ciebie ze wstydu rumienić“. Niejaka Marta, stara panna, niby szwaczka domowa, niby garderobiana, z wielkiem zrozumieniem odgadywała zamiary pani Łukomskiej i wprowadzała w życie jej zasady z nadzwyczajną gorliwością. Chłopiec słyszał nieustannie:

— „Tak się rąk nie trzyma!“ „Znowu się garbisz?“ „Patrz w oczy, kiedy do ciebie mówią!“ „Czemu nie powiedziałeś: przepraszam, a przydeptałeś mi suknię?“ „Nie opieraj się nigdy o ścianę!“ Takie układanie Janka trwało znowu cztery lata i osiągnęło szczyt doskonałości możliwej. Chłopiec ośmioletni—podług matki, sześcioletni—ni ustannie krygowany, często i szczypany przez Martę, nie znał igraszek wieku pacholęcego, osowił, zeszywniał, był jak lalka na pokaz. Zaczęto go „przysposabiać“ do szkoły i nauczyciel po roku „dukania“ nad nim, orzekł:

— On jest dobry, spokojny, nawet chętny; ale nie ma najmniejszych zdolności.

Łukowska obrazila się i zmieniła nauczyciela. Janek był szczęśliwy, że się uczy, gdyż to ratowało go od straszliwych nudów domowych i towarzyskich. Prawda, że mu nauka wcale nie szła do głowy i wczesnie nauczył się wąpić w siły swego umysłu; ale teraz miał on sposób uwolnienia się od ciągłych gderań mamusi i Marty, od ziewania na wizytach: „Muszę się przygotować na lekcję!“ Cóż kiedy się nigdy nie mógł przygotować! Nie umiał ani śmiać się ani płakać i nie był w stanie

niczego się nauczyć—brakowało mu zaciekawienia, interesu wewnętrznego. Powtarzał a powtarzał wyrazy, nie rozumiejąc ich znaczenia, związku, i nieraz przytem zasnął. Jednego dnia wpadł na pomysł prawdziwie rozpaczliwy: dopóty przepisywać lekcję, dopóki jej sobie nie utrwali w pamięci. Im dłużej przepisywał, tem trwalej zapisywały się w jego pamięci wyrazy następujące kolejno jeden po drugim: wydoskonalal ową pamięć wzrokową, która polega na zapamiętaniu każdego wyrazu w danem miejscu stronicy i wiersza. „Na stronie pierwszej, wiersz czwarty od góry, a wyraz trzeci od lewej ręki jest „obłoki“. Szperacze cierpliwi, komentatorowie, dobrze znają ten gatunek pamięci. Z początku przepisywał, uważając, myśląc jako tako. Potem pozostał mu jedynie nałóg przepisywania bezmyślnego, wytrwałego, co polubił. Na takiej to drodze włożył się ręką Janka w kaligrafię i wyrobiła się cierpliwość jego do przepisywania choćby najtrudniejszego wzoru. Sam sobie to zdobył bez niczyjej pomocy, polubił swoje dzieło i tylko to jedno umiał robić na własną rękę. Czy chłopca nie pokrzywdziło pierwsze wychowanie? Gdyby Janek mógł zrobić wyznanie wiary, opisać swój stan duchowy, kto wie, czy nie powiedziałby: „Jestem posłuszny, cierpliwy, porządny, potulny. Tak usilnie pracowano, aby mię uczynić takim, że w te cnoty włożyłem wszystkie zasoby swego ducha i jedynie na tej drodze mogę się rozwijać, doskonalić. Nie wymagajcie odemnie żadnych wysiłków myślenia, żadnego samodzielnego aktu woli, gdyż wyraźnie czuję jakby kamień na mózgu i—skrępowanie całej oso-

by!“ Twierdzą, że podobnie jak nie odrasta oko, ręka, noga temu, kto je utracił, tak samo nie odradzają się zdolności, których zanik u dziecka spowodowało pierwsze wychowanie. O, Janek — matka zwała go ciągle jeszcze Siunio, Sianieczek, Siuńcio — był tak grzeczny, potulny, że gdyby nawet czuł jakąś krzywdę, nie śmiałyby się poskarżyć! Małżeńska tyrania miłości zamienia niekiedy męża na pantofel, macierzyńska może z dziecka zrobić miękką bawełnianą pończochę. W dwunastym roku życia — w dziesiątym podług rachuby mamy — z biedą i przy staraniach zjednanego dla sprawy pana inspektora Siunio zdał egzamin do klasy pierwszej, gdzie znalazł się na ławie szkolnej obok Wojtka Stępowicza, chłopaka dosyć brudnego, szorstkiego, który, gdy chciał, musiał zawsze na swoim postawić. Janek ucałował jak gdyby oparcie dla siebie, poręcz dla swojej woli, nie umiejącej w nowych warunkach poruszać się samodzielnie bez mamusi i Marty. Stępowicz bowiem krzepką ręką ochraniał Janka przed napadami różnych urwisów, w ciężkich wypadkach nadstawiał zań swą głowę, a za to przepisywał mu bezwzględnie sposób postępowania i robił z kolegą, co mu się podobało. Bierność nie daje się wzruszyć do ruchu samodzielnego; ale każdy człowiek samodzielny może ją pchać przed sobą i wprawiać się na niej w kierowanie innymi.

Któż to był Wojtek Stępowicz? Chłopiec, którego wychowanie pierwsze zupełnie zaniedbano — barbarzyńca nawpół dziki, który prosto z lasu przyszedł do szkoły. Podobno cała ludzkość, dziś cywilizowana, znajdowała się w takim położeniu. Zawsze jakiś

dziki przychodził z lasu do jakiejś szkoły. Ojciec Wojtka — matka umarła, dając życie synowi — był leśniczym gdzieś w okolicy Świętego Krzyża, przytem — myśliwym zagorzałym, któremu wychowanie syna bynajmniej nie leżało na sercu. „Ja się wychowałem, chociaż o mnie nie dbali, to i on nie zginie“. Są dwie ostateczności: dzikość i zwyrodnienie cywilizacyjne, ale tylko pierwsza ma przyszłość przed sobą. Serce ciągnęło do boru starego Stępowicza jak — ptaka do gniazda. Ba, cała jego dusza tam się rwała! Kiedy się zadumał, to przedmiotem myśli z pewnością był las, albo — czworonożni i dwunożni mieszkańcy lasu. Jeżeli zasypiał, to w obrazach sennych przewijały się widoki boru, łowów. On śnił nieraz jak ów ogar zawzięty, który w marzeniach urzeczywistnia swoje pragnienia gorące i; śpiąc, zaciekle głosem goni zwierzynę. Dusza myśliwego niewątpliwie ma w sobie pierwiastki barbarzyńcy, a więc posiada i zarodki, z których powstaje szlachetność, dzielność charakteru; ale dusza ludzka, zwyrodniała na miękkim łonie cywilizacji, której wielkich idei ona nie pojmuje, jest to nicosić nad nicosićmi. Syn Stępowicza leśnika musiał już organicznie odziedziczyć coś z żyłki ojcowskiej, a oprócz tego, ziarna przykładu żywego ciągle padały na młodą, wrażliwą duszę i nie tłumione bujnie wraastały. Mały Wojtek bywał uczestnikiem wypraw łowieckich ojca, służył mu nieraz za naganekę, a taki sposób życia i sam bór mają w sobie potęgę, która jest w stanie pochłonąć człowieka. Gdy dusza ludzka w szczeroci swojej pokocha dziką przyrodę boru, to jej tego kochania już nic nie zdoła zastąpić. Bo bór

jest jednym z owych wielkich przybytków, gdzie przyroda objawiała się naszym praojcom jako bóstwo. Między sercem człowieka a przedmiotem przez nie ukochanym istnieje związek tajemniczy, nie dający się dokładnie ani opisać ani wyjaśnić. Można tylko powiedzieć o tem krótko: „Ciągnie mię!” To, „ciągnie mię” jakże objaśnić, gdy wszystkie władze duszy ciągnie, ogarnia?... Kawalek świata zwany borem, puszcza, jest równie piękny jak morze, góry także ukochane przez ludzi i zaludnione ich bóstwami. Uczucie człowieka jest wielkie, niezmierzone i dlatego ogarnia przedmioty olbrzymie, uznając je za najgodniejsze kochania. Więc w tem może tkwi rdzeń owych zaklętych tajemnic miłości? O czemuż morze, góry, puszcza nie są tak niezmierzone jak nieś! Tak przykro, nawet boleśnie, spostrzedz, że się wielkie kończy, zamyka: stój! doszedłeś do końca!

Bór iglasty! Oto stoi uroczyście w wyprostowanych kolumnach sosen, jodeł, świerków, modrzewi, jak gdyby celem tej społeczności żywej było uczczenie ciszą grobów. Pachnie żywicą i zaledwie znosi w dziedzictwie swoim istoty liściaste: borówkę, paproć, wrzos sztywny, albo te szaro-zielone roślinki, omszone włoskami, a mające listki jakby przybite do ziemi. Cichy w swych padolach, uroczyście szumiący w szczytach, stoi las jak cementarz, zasłany igliwem obumarłym, gałązkami uschłymi, szyszkami, a podłoże jego gnie się pod stopami niby trzęsawisko. Chodzi się tutaj pocichu... Tam sterczy kopic mrowiska zrudziałego, owdzie osiadła kolonia grzybów sinych, ciemnych, popielatych, które wyglądają jak gwoździe,

przytwierdzające do ziemi kobierzec wypłowiały mchów aksamitnych. Jałowiec—kadzidło dla unarłych—ten istny plebejusz drzew iglastych, ponieważ się krzaczkami u stóp możnowładztwa wysokopieznego, ubranego dostojnie w kozuchy mchów szarych. Ogromnie poważna cisza tu panuje... Rzecz dziwna, jak ją śmie zakłócać dzieciół tak głośnem kuciem w drzewo, albo—sójka krzykiem nagłym, chrapliwym—wiewiórka fukaniem i zgiełkliwem pierzchaniem kędyś ku szczytom! Czasem kruk kraknie głosem urywanym—zupełnie jakby się konar drzewa załamywał w górze, kraska błękitna się o lezwie—jak gdyby uschła gałąź zaskrzypiała. Życie tego boru ma swoje własne głosy. Sowy i puhacze chronią się tutaj na noclegi dzienne, tu i lelek podobny do kawałka kory jodłowej przez cały dzień drzemie na sęku A i te ptaszki małeńkie, co jak kulki przelatują, uwijają się po gąszczach koron świerkowych i zaledwie odważają się cichutko popiskiwać „pi...pi...pi”. Zające i lisy—zupełnie jak cienie—bez najmniejszego szelestu ukazują się i znikają — pomykają borem. Borsuk niedźwiedzioваты, niby to ciężki, otyły samotnik, a tak stąpa jakby w obuwiu aksamitnem i nigdy po nocy nie zamąci ciszy uroczystej—chyba, że walka... Ślimaki powylażyły ze skorup, powystawiały rogi z oczyma i świat oglądają, używają po swojemu życia, miłości. Jeżeli się tu motyl jaki zjawi, to zwykle żałobnik, albo—ćmy różne, prowadzące żywot nocny i mniszy. Chrząszcze, chrząszczyki, jakieś szare, brunatne, czarne—jedne powydłużane, inne krępe, w pokrywach

twardych, z ryjkami długimi, kryją się po szparach, szczelinach, pracują gorliwie i tak cicho, że ucho ludzkie szmeru nie złowi. Któż słyszy, jak kornik drukarz buduje swe pałace z labiryntami? Myśl człowieka nastraja się w tym boru poważnie, trwoga jakaś przenika do serca, budzi się mimowolnie prastara wiara w duchy złe i dobre; a gdy ci z pod nóg nagle wyskoczy mysz królik z zadartym ogonkiem, gotówes pomyśleć, że geniusz boru wziął na się taką postać. Ale oswój się z tem życiem tajemniczem, nawyknij do boru jak do domu, a już nigdzie na świecie nie będzie ci lepiej.

Z krainy posępnego milczenia, w jakie przyoblekają przyrodę igły i szyszki, przejdźmy do drugiej komnaty boru, która połyskuje świetnością, drga weselem życia. Jakże tu pięknie, ile tu szczęścia przez całe lato! Co to za dęby, jakie buki, wiązy, jesiony, klony, lipy, brzozy! Tam mogłeś się być modlić, a tu, w tej dąbrowie rozkosznej, zdejmie cię chyba chęć do płasów. Sosna, świerk, czy modrzew, jeżeli się tu gdzie i znajdują, wyglądają jak osoby stanu duchownego, które przybyły w gościnę na wielką salę godową i nie zamają powszechnej wesołości. Murawa haftowana w kwiaty różnowzore, różnobarwne, podesała się pod ten świat piękny, pełen życia soczystego, w którym czuć wyraźnie, jak tętnią potoki obfitę krwi zielonej. O to już nie lepka limfa żywiczna, płynąca w suchych drzewach szpilkowych! Jest tu rozkosz słoneczna motyli wszechbarwnych, muszek i chrząszczów ze złota, koralu, szmaragdu, rubinu, turkusu, opalu. W dyamenty, osobliwe klejno-

ty, w jedwabie przemiękkie, wystroiła się na swoje wesele z słońcem—ona, zawsze przesliczna młoduchna. Tam było parno, duszno, żywicznie wonno, jak w kościele na nabożeństwie uroczystem; tu przez całe lato skwarne panuje świeżość orzeźwiająca z tych pereł i brylantów rosy, cudnych łez, które boleś, czy radość wyciska z ziemi o zmroku i o świtaniu. Firletki, bodziszki, konwalie, storczyki, goździki, sasanki, koniczyny, poziomki, ciecioriki, groszki i róże dzikie, i głogi, i kaliny—malowanki przesliczne: Korony olbrzymów boru liściastego roją się barwami licznych gatunków ptactwa i szumią na wsze strony rozgwarem śpiewów, pogwizdywań, okrzyków. Gody nad gody! Co za uczucia wyraża słowik? Nikt tego nie wie napewno; ale się przecież bez powodu nie śpiewa po nocach z takim zapalem. I robaczek świętojański musi świecić z nieprzepartej jakiejś potrzeby świecenia w ciemnościach: może się to iskrzy i spala jakaś cząstka tego, co drga i w sercu człowieka... Wilga, strojna w szaty iście z litego pasa słuckiego, wygląda coś jak gdyby chciała być gospodynią tego domu: wszędzie jej pełno, wszędzie ją słyhać. Dopiero co przegwizdała kosa pełnego żywych uczuć rozdziennych, a teraz zda się przekomarzać z sroką uparcie skrzeczącą. Kukułka wpadła z rozmachem w gąszcz liści, swoim wykukiwaniem narobiła wrzawy, a wiesz się po gałązkach, a zagląda wszędy. Dudek, coś w rodzaju błazna cyrkowego, stroi dziwne miny, chodzi obrzędowo po murawie, a gdy złowi chrząszcza, podrzuca go w górę, chwyta i polyka. Paratrukawek uczuciowych widocznie nic nie spostrze-

ga, nie słyszy i w zielonej altanie korony lipowej rozłożystej zawzięcie grucha a grucha. Jasne, ciepłe słońce oblało blaskiem dach zielony boru; liście i lśnią się i mieniają w rozmaite odcienie zieleni, a wietrzyk je wzrusza i cała ta masa zielona drga, zdaje się kapać światłem. W owych zdrojach jasności słonecznej, na wiotkich gałązkach najwyższych, szczygielki się kołyszą i gwarzą śpiewnie między sobą. Czyżyki tu i owdzie przyczepione wyglądają niby jakieś owoce bogate olch, dębów, brzeziny; a ileż szczebiotu na świat wychodzi z tych drobnych orzeszków, czy oliwek! Gil się napuszył po wielko-pańsku, w kołpaczku czarnym aksamitnym, w kaftanie modrym, w żupanie purpurowym. Śpiewa, a nie słysząc go na ziemi: sobie śpiewa, nie—inym. Dzierzba srokosz siedzi na szczycie gruszy leśnej, kiwa ogonkiem, milczy i patrzy; ale coraz to zfrunie, złowi w lot jakiego rozpedzonego motyla, chrząszcza, i na ciernisty kolec go w bija—okrutnik. Ha, bo i najpiękniejsi nie żyją bożą manną! Niby na wystawę jaką, zleciały się z krain południowych roje uskrzydłone i fertają się powszedy rudziki, krętogłowy, popki, pliszki, piegże: oczka czarne, dziobki szydełkowate, odzież popielata w jasne i ciemne odcienie, a wszystko toto umie zaśpiewać. Przyleciały tu z wielkim pośpiechem na miłość, na wesele, a tylko świat rozweseliły i niejedno grób znalazło. Tak bywa zawsze, jeśli się nie spędza życia pod pierzyną. Krogulec lecił Ptasznik chytry, myśliwy zwinny i wprawny: wpadł w tłum rozśpiewany do zapomnienia, narobił popłochu i naraz wszyscy ucichli, pokryli się w trwodze śmiertelnej...

Coś pisnęło żałośnie, jęklawie i piórka piękne, barwne posypały się z drzewa na murawę, jak motyle. Nastąpiła krótka chwilka oniemienia i znowu się śpiewa dalej, gdyż koniecznie trzeba śpiewać, ażeby wyśpiewać to, co należy. Jakby straszliwe *memento mori*, jastrzęb olbrzymi wisi ponad sklepieniami boru, ów srogi *astur palumbarius* z skrzydłami w dwa łokcie—istna chorągiew śmierci—zakreśla koła w pogodnych błękitach, przystaje i ze skórczonemi szponami bystrem okiem przenika do wnętrza boru... Więc czy gołębie, te turkawki tkliwe, zamiast miłośnie gruchać, mają rozmyślać, że grób i kolebka są blisko siebie?

Człowiek „na łonie natury“ może się rozpróżniaczyć, zdziczeć i nigdy mu nie będzie dobrze w czterech ścianach; ale—mamy śmiałość twierdzić—w tej twardziej szkole bez stopni, odzłaceń, świadectw na piśmie, nigdy się nie zostaje tak zwanym „skończonym osłem“. Wychowanie sztuczne, które lekceważy wskazania przyrody, wychowuje często ślepych, głuchych, słabowitych mędrców, oporni na jego wpływy wychowawcy zostają znowu zdrowymi głupcami. Gorzej jeszcze, bo z słowami na ustach: „kochaj bliźniego jak siebie samego“, z ideałami prawdy, szczerości, wychowawcy szkoły sztucznej udoskonalają narzędzia mordercze, tępią swój własny rodzaj, uważają nędzę za konieczność, rządzą się w życiu obłudą, przewrotnością. Może to jest i warunek konieczny, aby człowiek stał się najprzód potworem, zanim wytworzy prawdziwie wielki w swoim rodzaju gatunek. Jak dziś, ideały wniosłe służą tylko za maskę dla chytrych podstępów. Litość, dobroczynność, wdzię-

czność są to uczucia piękne, a zawsze wywołane przez niczem nie wynagrodzone cierpienia pokrzywdzonych. Oszczędźmy ludzkości cierpień, krzywd, a litość, dobroczynność i wdzięczność staną się cnotami beużytecznymi. Geniusze stwarzają poza obrębem życia arcydzieła, które dodają życiu tylko goryczy, ukazując, że wielkie hasła szczęścia doczesnego są marzeniem niedościgłym. Na tym padole płaczu jedynie ciężka praca daje zapomnienie o niedoli, a marzenie jest wykładnikiem szczęścia. Postępy wiedzy idą szybkim krokiem naprzód, przynoszą dla życia rzeczywistego bogate dary odkryć, wynalazków — cóż kiedy one nie goją starych ran ludzkości, otwierają nowe i uwrażliwiają nawet na odczuwanie cierpień. Przyroda w chowie stworzeń swoich ma dobrą miarę i rękę tak szczęśliwą, że życie nigdy dla nich nie jest ciężarem: ona nie działa celowo, więc nie popełnia błędów, nie robi poprawek. Człowiek wypowiedział jej wojnę i, odnosząc zwycięstwa, napelniał jednak ziemię niezuanym jękiem cierpień i rozpaczy. Może się to skończy w dniu zupełnego podboju, kiedy ostatnia z tajemnic przyrody przejdzie na własność umysłu ludzkiego... Wówczas człowiek byłby przyrodą i jeszcze czemś więcej: — przyrodą myślącą. Ale mieć taką wiarę jest to marzyć!... Tajemnice przyrody mnożą się przecież nieustannie.

Ojciec Wojtka zginął nie od miecza, którym wojował, ale — w wojnie, którą ciągle prowadził: w krwawej przygodzie z odyńcem ranionym. Pewien myśliwy, obecny na razie, przypominał sobie, że Stępowicz ma brata starszego, księdza, który jest proboszczem

gdzieś około Szydłowca, i natychmiast wyprawiono gońca z smutną wiadomością. Ksiądz Stępowicz nazajutrz zjechał na miejsce, wyprawił nieboszczykowi bratu pogrzeb, a bratanka zabrał do siebie na opiekę. Wojtek zaledwie umiał czytać w taki sposób, co się to najprzód każdy wyraz sylabizuje w myśli, a pisał „jak kura“, chociaż liczył już dwunasty rok życia. Stryj brał się za głowę na widok tego zaniedbania umysłowego, a że był bardzo energiczny, więc bez straty czasu zapędził chłopca do książki. Jeżeli sam nie miał czasu z powodu obowiązków pasterza parafii, czy — zajęć gospodarskich, wtedy organista miejscowy brał Wojtka w obroty i odrabiał z nim lekcye. „Byle nie próżnować, to się jeszcze dogoni czas stracony!“ — powtarzał ksiądz proboszcz i tylko w jedną niedzielę cokolwiek folgował chłopcu. Organista miał bardzo wysokie wyobrażenie o swych zdolnościach bakalarskich, sadził się na gorliwość i ogromnie przepierał Wojtka. Nie było żartów, gdyż na plebanii znajdowała się dyscyplina z twardego surowca, postrach chłopaków wiejskich, którzy się ociągali z nauką pacierza i dziesięciorga przykazań boskich. A zarówno ksiądz jak i organista odznaczeni się nadzwyczajną ciętością ręki. Wojtek miał nieraz chęć zapłakać nad swym losem, ale nie było kiedy w zawziętej pogoni za czasem straconym. Rok szybko przeszedł na przygotowaniu chłopca do szkoły. poczem wyrostka już trzynastoletniego oddano do klasy pierwszej w Kielcach.

— Prawda, że chłopiec trochę zależał pole, i druga prawda — ma lenia — mówił ksiądz proboszcz

do inspektora — ale ma zdolności i jak mu się doda ostrogi, to pójdzie.

— He, he, he!

Zaśmiał się pan inspektor, a mrużąc oczy figlarnie, rzekł:

— Mamy my tu dobre sposoby na popędzanie chęci.

— To też właśnie, właśnie! Ojcowska opieka pana inspektora dobrodzieja słynie w całym kraju.

I ksiądz Stępowicz popchnął osowiałego Wojtkę, któremu poszepnął na ucho:

— Pocałuj pana inspektora w rękę, podziękuj!

Że to w obecności młodzieży nie wypada mówić o niektórych rzeczach, więc stryj wyprawil bratanka do zajazdu:

— Idź pod numer, poczytaj sobie którą z książek, co ci się je do szkoły sprawiło!

A sam w obie dłonie ujął rękę inspektora, patrzył mu w oczy z przymileniem i mówił:

— Zacny panie inspektorze dobrodzieju, proszę na kieliszek winka...

— Egzamina — w kancelaryi dużo roboty!.. No, ale z kochanym proboszczem... tylko... tylko... żeby nie było jakich zbytków.

— Ale, ale! Gdzie znowu! Mógłbym dać słowo kapłańskie... Jedno szkiełko i po wszystkim.

Zabrali się i poszli w rynek.

— Panie Wajs, czy pamiętasz — brałem tu na świętą Łucyę wino w półgąsiorkach?.. Słomkowe takie, wytrawne — dwanaście złotych półgąsiorek.

Mówił ksiądz w sklepie do kupca na ucho.

— Któżby nie pamiętał?... Sufragańskie, numer dwudziesty pierwszy!

— To, to, to! Proszę nam postawić półgąsiorek, do tego — bakalie, cygara suche, leopoldosy.

— He, he, he! — śmiał się inspektor grubym głosem na widok gąsiorka. — Jedno szkiełko, jedno szkiełko, a trzy butelki... Czy to przystoi osobie duchownej brać się na podstępny?

— Podstępny, ale z dobrego serca, a tego i Pismo święte dozwala.

Kiedy w parę godzin potem dopijali już półgąsiorka, ściskali się nieustannie za szyję i byli z sobą na ty — „proboszczulku, inspektorku“. A Wojtek siedział pod numerem w zajęzdzie Poziomkowskiego, odurzony wypadkami dnia, zaczął czytać w wypisach wiersze: „Nie z potrzeby, ale z mody leciał pędem panicz młody...“ Położył głowę na książce i usnął. Ocknął się dopiero około północy, gdy posłyszał odgłos kroków stryja, który wracał od Wajsa z wielkim łoskotem. Ksiądz proboszcz tak się rozczulił, widząc bratanka ślęczącego nad książką, że wyjął z kieszeni garść trojaków i rzekł:

— Masz, użyj na co ci się podoba!

Z kolei hojność stryja nadzwyczajnie wzruszyła Wojtkę, rzucił się księdzu do kolan i zakwilił jak niemowlę.

— No, no, uspokój się!.. Wiem przecie — i krewny i sierota... Kamieniem byłbym chyba nie księdzem — pomrukiwał ksiądz Stępowicz.

Opiekun Wojtkę, sam były uczeń szkoły kieleckiej, wychowaniec tutejszego seminaryum, znał do-

kładnie stosunki miejscowe i nie potrzebował się namyślać długo nad wyborem stancyi dla bratanka. W Kielecach panował taki zwyczaj, że uczniów, pobierających naukę szkolną kosztem różnych księży, pomieszczano zwykle na stancyi u kucharza seminarjum, i stryj też Wojtka z góry to już postanowił. Ale księży znali pana kucharza z tych czasów, kiedy klerykami byli, a on — człowiekiem energii, żelazną ręką kierującym pensyonarzami swej stancyi. Teraz kucharz roztył się, zniedołężniał — może grosz zrobił i to go także czyniło niedbałym — a stancya jego utrzymywała się sławą chlubnie pozyskaną w przeszłości. Należał on do rzędu ludzi, którzy nie wyglądają na to, czem są w zawodzie swoim: chłop kolos z postawą wielkopańską. Kiedy oblekł surdut czarny, włożył na głowę rurę kastorową świecąca, rozwiesił na brzuchu okazałym złoty łańcuch od zegarka, wziął w rękę trzcinę grubą i szedł z głową dumnie wzniesioną, z góry stawiając nogi, ludzie spoglądali za nim, myśląc w duszy: „Ki dyabeł?... Magnat jakiś, czy wysoki dygnitarz!“ Nie wiemy, z jakiej przyczyny uczniowie nadawali mu przezwisko „Ambasador“. Chociaż przez całe życie krajał i siekał tylko mięso zwierzęce, a wydawał rozkazy jedynie kuchcikom i pomywaczom, niemniej jednak cała fizyonomia jego miała w sobie coś generalskiego: — ogromną pewność ruchów, spojrzenie rozkazujące, które nie znosi żadnego oporu, stanowczość rysów twarzy i — głosu bardzo doniosłego. Ambasador przyjął księdza Stępowieza z dobroduszną poufalością — poklepał go nawet po plecach; potem wszczął rozmo-

wę o różnych prałatach, kanonikach, dziekanach, proboszczach w dyecezyi, westchnął i rzekł:

— Ilu to ludzi człowiek wykarmił!

Nareszcie zbliżył się do Wojtka, położył na jego króciutko wystrzyżonej głowie rękę wielką pulchną jak poduszka, mówiąc:

— O tego kawalera chodzi?... Dobrze! Choćby nawet nie było miejsca na stancyi, dla niego kącik jakiś musiałoby się znaleźć... Tylko, mój kawalerze, u nas jak w wojsku — posłuszeństwo ooo!

— Tak, tak! Posłuszeństwo, porządek, pilność, dla twojego własnego dobra!.. Ucałuj rękę opiekuna, który ci teraz mnie zastąpi i słuchaj go, kochaj!

Wojtek poskoczył, ujął ciężką dłoń i wycisnął na niej jaknajszerszy pocałunek.

— Niech on sobie teraz idzie, porobi znajomości z kolegami na stancyi! — mówił stryj, ukazując wzrokiem na bratanka. — Proszę, proszę! — zawołał Ambasador i niebawem wpuścił Wojtka do obszernej izby, gdzie zjawienie się gospodarza wywołało niejaki popłoch wśród pensyonarzy, którzy z wielkim pośpiechem uprzętałi coś ze stołu i chowali w kieszenie. Gospodarz jednak nie miał widać zamiaru przeszkadzać im w zabawie, gdyż ukazał tylko w drzwiach swą twarz, przypominającą księżyc w pełni, a ozdobioną spadającym na piersi podbródkiem, i zaraz zniknął. Wszyscy zwrócili teraz uwagę na przybyłego nowicyusza, tręcali się lokciami, a z uśmiechów, spojrzeń, półsłówek, można się było domyślać jakichś drwin złośliwych. Młody Stępowicz rzeczywiście śmiesznie wyglądał. Stryj kazał

mu zrobić mundur z sutanny, a zapowiedział wyraźnie krawcowi, żeby to było „na wyrost, dostatnio, gdyż chłopaka codziennie przybywa i żeby mu przecie taki mundur na parę lat wystarczył“. Krawiec zastosował się do polecenia, uszył mundur obszerny, długi za kolana; tylko stojący czerwony kołnierz, zapinany na haftki, był za ciasny. Wojtek myślał, że tego wymaga przepisana forma i dopiął się starannie, chociaż mu twarz krwią nabiegła i oczy na wierzch wylazły. Miał na nogach i szarawary „na wyrost“, musiał je u dołu pozawijać, ażeby nie przydeptywać. Za to nowe buty były nadzwyczajnie ciasne: nogi chłopcu w nich popuchły. I sztywny kaszkiet mundurowy odcisnął na czole jego obrączkę purpurową. Oprócz tego wszystkiego, zupełnie nowe stosunki wprawiały w zakłopotanie i odurzały chłopca już z natury nieśmiałego, wychowanego w boru. Kiedy się teraz znalazł wśród gromady żaków, był jak na mękach—spuścił oczy, miętosił w palcach swój nowy kaszkiet. Penyonarze, porozbierani z mundurów, grali przed chwilą w karty; ale wejście Ambadora spłoszyło ich i poczęli stroić sobie żarciki z Wojtka najprzód półgłosem, potem otwarcie, głośno.

— Ciekawym, jak się wabi ten kulfon w spódnicy?—rzekł Gamarski, dryblas rozczochny, z rękoma w kieszeniach szarawarów.—Takiego jeszcześmy tu nie widzieli—rarytas!

„Piękną ma figurę, niema co mówić!... Ubrał się jak pan młody do ślubu.“ Mówił niejaki Kulewicz, wydobywając z kieszeni worek skórzany, wypchany tytuniem i fajeczkę, osadzoną na giętkim cy-

buchu zwiniętym w węża. „A haa!“ Zawołał Koprzywa, chłopak długi, cienki, blady, z białymi włosami. „Mam już dla niego pannę młodą! Wiecie—tę grubą przekupkę, która sprzedaje „farynę“ pod świętą Teklą.“ Na te słowa wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wojtek zniecierpliwził się, spojrzawszy złością na mówcę i mruknął: „Oś siol!“ „On umie mówić!“ wykrzyknął Gamarski. „Jak Boga Kocham, będzie miał od „Chińczyka“ piątkę z polskiego! To bardzo mądre dziecko!“ Znowu nastąpił wybuch śmiechu, który doprowadził nowicyusza do wściekłości. Teraz właśnie Kulowicz zbliżył się do Wojtka i, zaglądając mu w oczy, zapytał: „Szlachcic z Ryczywoła, czy z Pacanowa?.. Gdzież wyrósł taki śliczny kwiatek?“ Chłopiec nie mógł dłużej znieść tych przedrwiwań, odsadził się i tak silnie pchnął natręta, że ten stracił równowagę i gruchnął na ziemię jak długi, przyczem stłukła mu się fajka, a tytuń rozsypał się po podłodze. „Takis to ty robaku?...“ krzyknął Koprzywa. „Panowie, weźmy się do niego przez pierze.“

Mówiąc to porwał z łóżka poduszkę i cisnął ją z całej siły w nowicyusza, a za jego przykładem inni poczęli natarczywie rzucać poduszki, kołdry, sienniki, szlafroki. Stępowicz bronił się jak mógł, rękoma i nogami odrzucając pociski; ale nowe leciały ze wszystkich stron, zasypywały go i zagrażały, że wkrótce głowy nie zdoła wychylić z tej kupy rupieci. Domyślał się, o co im chodzi: chcieli go ubezwładnić, a potem obić pytaniami. Właśnie Kulewicz, głownie obrażony, wszedł na stół, trzymając w ręce pyte

twardą skreconą z dwóch ręczników namoczonych w wodzie i czekał chwili stosownej, aby z góry skoczył na swą ofiarę. Nowicyusz jednym rzutem oka objął groźne położenie i ocenił, że jednej chwili nie ma do stracenia. Oblany potem, obsypany pierzem z rozprutych po luszek, wy dobył z siebie ostatnie siły, wznosił się na wał pościeli, ztąd jednym susem wskoczył na stół, wydarł z rąk Kulewicza straszliwą pytę, a jego samego stracił na podłogę. Rozszalały w gniewie spoglądał z góry na nieprzyjaciół i groźnie wstrząsał tą pytą twardą jak kamień. Zawyla rzesza i w mguieniu oka już obmyślono nowy fortel wojenny: Gamarski i Koprzywa niepostrzeżenie z kradli się pod stół, aby go przewrócić, podczas gdy inni, drażniąc Wójtkę, zwracali na siebie całą jego uwagę. Oblężony w samą porę spostrzegł podstęp, skoczył na ziemię i pierwszych, którzy mu się nawinęli pod rękę, raził po głowach pytą; ale zapal wojenny wzrósł niesłychanie, liczne ręce już pochwyciły walecznego Wójtkę za głowę, ramiona, poły munduru, szarpano go zaciekle na wszystkie strony, rwano na nim kawałkami odzież wśród wrzawy nadzwyczajnej. Wtem drzwi się szeroko rozwarły, prawie cały ich otwór wypełniła osoba Ambadora i tylko ponad ramionami widniała głowa księdza Stępowicza, wspinającego się na palcach. „Co to ma znaczyć?“ zapytał ku charz głosem grzmiącym, przytupnawszy potężną nogą i spoglądając wzrokiem groźnym po izbie zawalanej betami. W odpowiedzi na to wysunął się na czoło Gamarski jako rzecznik gromady i jasno, wyraźnie, bez zająknienia, tak sprawę przedstawił: „Chcieli-

śmy się dowiedzieć, jak się ten nowy uczeń nazywa i z kąd przyjechał, a on nam zaczął wymyślać od osłów. Więc ja i Koprzywa powiedzieliśmy mu tylko, że w szkołach niewolno nazywać uczniów osłami. Obraził się o to widać i Kulewicza, który go o nazwisko zapytał, tak pięścią palnął w głowę, że chłopak upadł, prawie zemdłał... Dopierośmy go zaczęli strofować i rozzłościł się, porwał pytę — bośmy przedtem grali sobie „w lisa“ — bił nas, a myśmy uciekali... Wszyscy mogą zaświadczyć, że słowo w słowo tak było.“ „Tak jest, tak! On z nami zaczął!“ chórem powtórzyli wszyscy.

Jeden Wojtek stał zgnębiony, błąd teraz jak ściana, ze spuszczonei oczyma, z oberwanemi polami munduru. Nie słyszał nawet, co Gamarski mówił, wiedział, że się stało coś nadzwyczajnego, czuł swoją winę i za nic w świecie nie przemówiłby w swojej obronie. Stryj nie mógł już dłużej wytrzymać, poprosił Ambadora, aby mu przez drzwi przejść pozwolił, poczem, grzęznąc w stosach poduszek, podbiegł do bratanka, wziął go za ucho i wyprowadził z izby. Czyn zły nie może ujsć bezkarnie i wina nieuchronnie pociąga za sobą karę; ale ksiądz Stępowicz, przebywając poza domem, nie był w możności ukarać przykładownie brata ka i zwrócił się do pana inspektora z najuprzejmiejszą prośbą o wyłączenie, a sam odjechał do domu gniewny, strapiony. Najprzód wrzucono Wójtkę w tak zwane „ciemności wewnętrzne“, to jest do komórki ciemnej, gdzie „dołkożę“ przez dwanaście godzin, rozmyślając o swoim przestępstwie. Potem przyszedł pan inspektor, a za

nim Jacek z różgą nową, świeżą i widocznie namoczoną w wodzie, gdyż woda z niej kapiała. Zwierzchnik szkoły był w przewybornem usposobieniu: uśmiechał się figlarnie i przedstawiał osłupiałemu z przerażenia chłopcu, że taki „nie jest jeszcze studentem, który nie otrzymał chrztu studenckiego“, a Jacka pozwolił sobie nazywać „ojcem chrzestnym“. Stało się zadość sprawiedliwości!.. Tym razem kara przekroczyła nawet granice zakreślone przez sprawiedliwość, gdyż uchwała rady szkolnej pedagogicznej z dnia pierwszego maja 1854 r. stanowiła karę pięciu różg na winnego wszczęcia bójk z kolegami: Wojtek otrzymał o trzy więcej. Nie mogło być inaczej, skoro ksiądz stryj prosił o „przykładne, ojcowskie ukaranie“ bratanka; a następnie pan inspektor przywykł do tego, aby uczeń krzychał pod różgami, podczas gdy Wojtek ani pisnął, co stanowiło dowód jakoby nieskuteczności kary. Dodano mu więc trzy różgi w nadziei, że krzyknie. Chłopiec miał tylko oczy pełne łez cichych, gdy opuszczał komórkę i gdy mu rzucano słowa pociechy:

— Pamiętaj, to się robi dla twego dobra.

W wieku młodym człowiek i temu nieraz wierzył. Na stancyi u Ambasciora mieszkali trzecio i czwartoklasiści, którzy jako ludzie dostojniejsi z góry spoglądali na Stępowicza, pierwszoklasistę. Wojtek im się też nie narzucał, unikał teraz zatargów, stał na uboczu, coś jakby szanujący swą godność demokrata wśród arystokracji. Gamarski rej tu wodził. Ta stancya—w czasach, o których jest mowa—stanowiła przedewszystkiem szkołę fajczarzy,

to jest doprowadzano tutaj sztukę kurzenia tytoniu do kresu takiej doskonałości, że już nic więcej na tem polu nie daje się zrobić. Jak oni tam umieli wypalać fajki piankowe, zaciągać się, kurzyć nozdrzami, puszczać dym tytoniu w kołach, kółkach, kóleczkach! Z niemniejszym zapalem uprawiano na stancyi karciarstwo: dyabelka, chlusta: gra ta zwie się po staropolsku „flus“ — sztosza, marysza. Niezależnie od kart, grywano o pieniądze w „chapankę“ i w „cetno-licho“. Kto miał chęć zagrać, przychodził do seminarium, jak do klubu; w razie liczniejszego zebrania wnoszono się na strych, w pole. Oprócz tego, stancya, którą pan dyrektor nazwał parę razy „jaskinią łotrów“, wsławiła się niepospolicie wagusami i wydała najslynniejszych w szkole kieleckiej wagusiarzy. Zetknięcie się murów szkoły z murami seminarium ogromnie ułatwiało „drapnięcie ze szkoły“ wszystkim tym, którzy znali dokładnie rozmaite dziury, przesmyki, uszkodzenia murów. A zwykle Gamarski stał na czele i, jeśli się wydała sprawka fajczana, karciarska, wagusiarska, Gamarski albo wychodził z tego cało, albo już przynajmniej — jako niewiele winny. O, bo biada takiemu, któryby się ważył zeznać prawdę przed władzą szkolną i zwał winę na kolegę! „Zuchem“ nazywał się umięjący milczeć nawet pod najsurowszą chłostą; na najwyższą pogardę zasługiwał „farak“, „zdrajca“ i zdarzający się niekiedy „szpieg“. Drogo nieraz kosztowało spełnienie obowiązku koleżeńskiego, nie mówiąc już o wypadkach poświęcenia się po bohatersku! Ileż to razy

dziesiątkowano całą klasę, a w klasie bywało po sześćdziesięciu, i żaden z bitych „nie puścił pary z siebie“. Często władza szkolna wiedziała, że taki a taki jest posiadaczem tajemnicy, używała wszelkich środków, ażeby tę tajemnicę wydobyć, i nie mogła nic wskórać. A tak szkoła, mimo swej woli i wiedzy, rozwijała w młodzieży uczucia, które właśnie usiłowała stłumić. Bywało, ni ztąd ni zowąd, na stację Ambasadora wpada inspektor i to z diadką—tak zwano podoficera, który spełniał obowiązki policyanta szkolnego—otwierają do kuferków, przetrząsają pościel, gmerają po szufladach, czasem nawet po kieszeniach. Odwiedziny takie zdarzały się i w nocy, chociaż bywało to rzadko. Podczas rewizji zawsze znaleziono rzecz jakąś podejrzaną, która dawała powód do badań, śledztw różnych, sprawdzeń, i wtedy należało zachowywać ostrożność, krew zimną, wobec podstępnych pytań chytrego pana inspektora. Raz naprzykład w piecu, pod kupą zimnego popiołu i węgla—było to w lecie—znaleziono kilka talii kart, troskliwie owiniętych w papier, który—jak się okazało z pisma—pochodził ze starego brulionu Wojtka. Jednocześnie diad'ka wykrył na piecu trzy butelki próżne i kawałki papieru bibulastego z paczek tytoniu: „*Drajkensig*“ i „*Gelb-Virginien*“, a jak gwara studencka opiewała—„drajcap“ i „wirginiusz“. Ponieważ znaleziono karty, więc należało wyszukać karciarzy; butelki z wódki, paczki z tytoniu świadczyły najwyraźniej, że ktoś pija wódkę i ktoś kurzy fajkę. Ale kto?... Ha, może śledztwo coś wykryje! Pociągnięto do badań najprzód Stępowicza: jedno, że

niedoświadczony nowicysz łatwiej wyśpiewa prawdę, drugie—papier owijający karty pochodził z jego brulionu i pisma własnej ręki nie mógł się zaprzeć żaden uczeń. Na stancyi z góry przewidziano wszystko; Gamarski odgadywał dosyć bystro, co za pytania będzie stawiał inspektor, i nauczał Wojtka, jak się ma zachowywać podczas śledztwa:

— Ty się z nim nie wdawaj w żadne rozmowy, bo cię pochwyci! Na wszystkie pytania odpowiadaj „nie wiem“, a niech cię Pan Bóg broni, żebyś się załęknął, zacerwienił! Patrz mu śmiało w oczy i odpowiadaj „nie wiem“—rozumiesz?... A niech cię ręka boska broni, żebyś „zfaraczył“, „zdradził!“

Stępowicz wysłuchał tych nauk i poszedł do szkoły, a zaraz na pierwszej lekcji inspektor wezwał go do kancelaryi. Chłopiec był blady i skóra na nim drżała: nie tyle z obawy różgi, ile w przewidywaniu, że będzie musiał nieustannie kłamać, chociaż nie umie.

— Mów prawdę, a włos ci z głowy nie spadnie!.. Pamiętaj, że kłamstwo zawsze wyjdzie na wierzch, wcześniej czy później! Była to przemowa wstępna, po której nastąpiło pytanie:

— Czyje są te karty?

— Nie wiem — opowiedział Wojtek lekliwie, a przed oczyma jego duszy stała wyrazista prawda w osobie właściciela kart, Gamarskiego.

— Jak ty śmiesz zapierać się, śmierdziuchu, lgać w żywe oczy?... Myślisz, że ja ci uwierzę? Na jednej stancyi mieszkasz i nie wiesz?... He, he, he!

śmiał się śmiechem, który dreszcze wywoływał u Stępowicza.

— To ty nie wiesz o niczem?.. Doprawdy nie widziałeś nigdy, jak na stancyi w karty grali, wódkę pili, fajki palili? — zapytywał natarczywie, wpatrując się w chłopca, jak gdyby duszę jego chciał przejrzeć. Kto przywykł kłamać, jak Gamarski, i nie przyznaje prawdzie żadnej wartości, uważa ją nawet za szkodliwą, ten podczas badań takich ma troskę jedyną, ażeby łącać dobrze i nie powikłać się w zeznaniach. Ale Wojtek był prostakiem szczerym i, gdy łącać musiał, serce mu biło gwałtownie, krew uderzała do głowy, tracił przytomność umysłu. Inspektor, znawca stanów duszy, zwierzył odrazu, że trzeba tylko nacisnąć dobrze, a chłopiec wszystko, co wie, niezawodnie wyśpiewa; więc namarszczył brwi i rzekł z surową powagą:

— Żeś ty jest ptaszek, to ja widzę! — Z temi słowami położył mu rękę na ramieniu. — Patrz mi prosto w oczy, łągarzu, i odpowiadaj!.. Kto na waszej stancyi grywa w karty, pije wódkę, kurzy fajkę? Stępowicz spoglądał w przenikliwe oczy inspektora wzrokiem mętnym, pomieszany i wybełkotał:

— Nie wiem!

— Czy to sumiennie zeznajesz, mógłbyś przysiąc?.. Ja chcę wierzyć, że się brzydzisz łągarstwem... Masz dobry przykład — twój stryj, kapłan, człowiek zacny.

Wojtek milczał, a inkwizytor z radością spostrzegł, że ugodził w słabą stronę.

— No, powiedz, nie ukrywaj prawdy!

Chłopiec powziął nagle jakieś postanowienie, które mu dodawało otuchy, gdyż śmielej podniósł głowę i powiedział głosem pewnym:

— Ja!

Była to odpowiedź tak niespodziewana, że pan inspektor nie mógł utaić zdziwienia: wnet się jednakże opamiętał i pytaniem swoim z kolei zrobił Wojtkowi niemiłą niespodziankę:

— Ty? Ty?.. Pięęęknie!.. A z kimże to jegomość grywa w karty?

Stępowicz nie chciał być „farakiem,” „zdrajcą,” wydając tajemnice stancyi, i sądził, że uczyni zadosyć sprawiedliwości szkolnej, jeśli przyjmie całą winę na siebie, otrzyma karę surową, ale zasłoni kolegów pensjonarzy. Wprawdzie i teraz kłamał, przyznając się do winy niepełnionej; jednakże poświęcenie osobiste napełniało go zadowoleniem i nie czynił sobie żadnego wyrzutu za kłamstwo. Tymczasem inspektor postawił straszliwe pytanie:

— Z kim grywasz w karty?

Ponieważ w karty koniecznie z kimś grać trzeba, więc Wojtek, nie umiejący brnąć z motactwa w motactwo, musiał ukazać współnika. Kogóżby? W tej chwili stanął mu w myśli kolega i przyjaciel z ławki szkolnej, który był najbliższy jego sercu, jego „ja.” Mamy zawsze jakieś prawo do tych, których szczerze kochamy i nie powątpiewamy o wzajemności. Na pytanie inspektora, powtórzone z naleganiem, Stępowicz odrzekł:

— Janek Łukowski.

Pan inspektor pobiegł do klasy i sprowadził Janka, przerażonego nadzwyczajnie, bladego jak kreta. Zaraz na wstępie Wojtek rzucił na przyjaciela spojrzanie, które zdawało się przemawiać: „Przecież i ja nie siedzę na różach.“ Łukowski również nie umiał kłamać i zrobił wielkie oczy, słysząc pytanie:

— Kiedy ostatni raz grałeś w karty?

Zagadnięty w ten sposób, spoglądał już na inspektora, już na kolegę, który mu dawał jakieś znaki niezrozumiale oczyma, głową, wyrazem twarzy.

— Śmierdziu! Wrzasnął inspektor. „Grałeś w karty?“

Janek najprzód powiedział: „Niee... w karty nie.“ Ale spostrzegł niepokój nieprzyjaciela, jego ruch głowy podpowiadający wyraźnie odpowiedź twierdzącą i poprawił się natychmiast: „To jest... grałem... grałem...“ Chłopiec wiedział przecież, że ojciec jego często grywa w karty, więc nie wyobrażał sobie, ażeby gra taka była bardzo ciężkim występkiem. Nie będziemy tu przedstawiali całego przebiegu śledztwa, dosyć na tem, że ręka sprawiedliwości szkolnej bardzo surowo skarciła dwóch żaków, którzy wcale nie umieli grać w karty, nie pili wódki, a w parę lat potem nauczyli się kurzyć fajkę. Stępowicz zniósł mężnie karę chłosty; ale Łukowski, delikatniejszy, tkliwszy, nie mógł się długo uspokoić: nieustannie poplakał, przez lzy spoglądał na przyjaciela, a w oczach jego można było wyczytać pytanie: „Powiedz mi, za co ja dziś dostałem różgi?“ Teraz dopiero Wojtek, na widok owych łez, uczuł wyrzuty sumienia robił wszystko, co mógł, ażeby Janek zapomniał

o swem nieszczęściu: odprowadzał go ze szkoły do domu, po drodze kupił za ostatnie trzy grosze piernik, skierował drogę umyślnie przez ogród i około zamku, gdzie grała muzyka wojskowa. Nareszcie uśmiech oczekiwany ożywił skrzywione usta Łukowskiego i dwaj przyjaciele zaczęli się serdecznie ścisnąć na pożegnanie. Żaden z nich nie wiedział, z kąd się wzięła ta nadzwyczajna serdeczność, każdy z nich miał w sercu to uczucie i potrzebował je wyrazić, a ucałowanie przyjaciela sprawiało mu niewypowiedzianą rozkosz, w której było dużo szczerzej rzewności. Gdyby posiadali wówczas świadomość stanów duchowych, powiedzieliby: „Kochamy się wzajemnie, ponieważ wspólnie cierpieliśmy.“

Pensyonarze na stancyi u Ambasadora, „psy seminaryjskie“ jak ich niekiedy w szkole przezywano, spoglądali teraz na Stępowicza z większem uszanowaniem, jako na „zucha“, który umie pocierpieć za dobrą sprawę. Gamarski zrobił mu nawet ten zaszczyt, że go raz wziął z sobą na wagusy „pod Telegraf“—tak się nazywał las w pobliżu Kielc położony. Te wagusy ogromnie się spodobały Wojtkowi; ale nazajutrz nie miał odwagi przedstawić władzy szkolnej świadectwa nieobecności z podpisem Ambasadora, sfalszowanym przez Koprzywę, i znowu otrzymał chłostę. Uczuł—rzec można—niezdolność do życia publicznego, szerokiego i żył w granicach zakreślonych przez prawa szkolne. Jak tylko wrócił ze szkoły, zasiadał do roboty, kuł na pamięć lekcye zadane. Jeżeli się czegoś nie nauczył „expedite“, nigdy nie umiał „oszklić belfra“, tylko odpowiadał spokojnie

„nie umiem,“ za co dostawał „pałkę.“ A ciężko mu było wykuwać te lekcye, których nie tłumaczono, nie objaśniano, jeno zadawano „ztąd dotąd.“ Byli kowale sławni, zdolni pamięcią ogarnąć nawet dwie kartki drukowane wyrazów choćby pozbawionych związku: prymusy, pod-prymusy, umiejący „trzepać“ lekcye jak pacierz. Wojtek miał umysł, który przyjmował tylko to, co dobrze zrozumiał, to jest — jeśli lekcyja we wszystkich swych częściach związana w zrozumiałą dla niego całość przystała do umysłu. Nie mając pojęcia o kuli, kole, siłami własnego umysłu musiał sobie zdobywać już w klasie pierwszej pojęcia takie, jak: oś ziemiska, bieguny, równik, równoleżniki, południki i t. d. W podręczniku Geografii Ansarta lub Czarkowskiego zaznaczano „ztąd—dotąd,“ a najwyżej, jeśli potem jeszcze prymus odczytał głośno zadaną lekcye. Rysowało się wprawdzie mapy, jednakże główną rolę odgrywało tu kalkowanie. Zato Szymoński nauczał w klasie pierwszej arytmetyki w taki sposób, że „mierniaki“ i „tępaki“ nawet odnosili korzyści. „Nauczyciel bo dlatego się tak zowie, ponieważ musi nauczyć, a uczeń musi nauczyć się... Uczeń bo dopóty jest głupi, dopóki się rozumować nie nauczy... Choćbym waćpanu bo sto pałek zapisał, to mości nic a nic nie zmądrzejesz; ale raz jeden wezmę bo głupca do tablicy i już się mędrszym stać musi.“ Doświadczał zawsze zadowolenia szczerego, jeśli nieuk zaczynał robić postępy. „Wio, wio dalej! Tylko mi waćpan bo nie ustań!“ Stępowicza zdolności wyróżniał i razu jednego tak mówił: „Zacnie bo, mości Wojciechu!.. Nie każdy bo rozum ludzki ma w sobie

prawość, uczciwość, rzetelność... Proszę bo, szanuj mi waćpan głowę swoją! Wielkie prawdy nie potrzebują tych głów „szpakami karmionych,“ rozumów z wybiegami... W głowie bo musi być czysto, jasno jak w niebie, jak w sumieniu człowieka świętego... Tylko taki rozum spostrzeżga prawdę wielką, świętą, wiekiustą i staje się wielki, gdy ją ogląda.“

IV.

Wojtek, uczeń drugoletni w klasie trzeciej, obarczony dwiema pałkami — z niemieckiego i z mineralogii, a zasługujący tylko na trójkę ze sprawowania, zaczął rozpaczać o promocyi do klasy czwartej. Trzeba było jakichś względów nadzwyczajnych, ażeby uczniowi pozwolono pozostawać trzy lata w jednej klasie. „Mozoliliśmy się dwa lata — mówił dyrektor — i nie możemy go cierpieć dłużej, gdyż inaczej wszyscy próżniacy będą się kierowali na trzyletnich: zrobi im się oskome.“ Jeżeli więc drugoletni nie dostał promocyi, to „szedł na grzyby“ i właśnie los taki oczekiwiał Stępowicza. Surowo skarcony przez stryja podczas świąt Bożego Narodzenia za cenzurę, postanowił w drugim kwartale „wziąć się na pazury,“ robił wysiłki — nic nie pomogło. Niczem nieprzejednany Świder zapisał w cenzurze wielkanocnej postęp „mały“ i toż samo uczynił Hornblendą. Stryj przyjął bratanka dyscypliną i przez całe święta zmuszał do

ślęczenia nad gramatyką niemiecką. Za powrotem do Kielc, chłopiec musiał wręczyć inspektorowi list od stryja, który się „przypominał łaskawej pamięci i najuprzejmiej prosił o skuteczną opiekę nad widocznie brnącym po manowcach leniuchem.“ I Ambasador otrzymał list z taką samą prośbą, a jednocześnie z przykrą wymówką: „Powierzając bratanka opiece szanownego pana, byłem pewny, że go oddaję w ręce najlepsze doświadczonego przewodnika młodzieży, tymczasem — widzę niestety z cenzury — spotkał mię gorzki zawód.“ Swoją drogą poszedł list do jednego z profesorów seminaryum, kolegi i przyjaciela księdza Stępowicza: „Bóg widzi moje najlepsze chęci: pragnę krewniaka, sierotę, wykierować na człowieka, a tu spotykam przeszkody. Chłopiec, przed oddaniem go do szkoły, był dosyć pilny, posłuszny; teraz rozpuścił się widać i nie nauka n.u w głowie. Zlituj się, będziesz miał zasługę dobrego uczynku, pogadaj tam z profesoremi szkoły!.. Chodzi mi o to, żeby przeszedł do klasy czwartej.“ Pan inspektor przeczytał list i pomyślał:

— Będę o nim pamiętał, jak się tylko zdarzy sposobność!

Kucharza oburzyła wymówka:

— Cóż to sobie znowu ksiądz myśli, że ja się powinieniem uczyć lekcyi za nygusa? — Potem wylałaj Wojtka:

— Jeszczem też tu na stancyi swojej nigdy nie miał takiego nieponia!

Ksiądz profesor zaś orzekł w głębi duszy:

— Przecież kapłanowi nie przystoi wstawiać się za próżniakiem, a tembardziej skłaniać nauczycieli do niesprawiedliwego uwzględniania niedbalstwa.

Gorliwość wychowawcza i bez tych listów tak parla na Wojtka, że gdyby się tu drogą owego parcia dał skutek osiągnąć, chłopiec zostałby chyba geniuszem. Tymczasem ciśnienie zewnętrzne wywoływało u Stępowicza zjawiska duchowe, nieprzewidywane przez wychowawców. Możeby go także i za to przesładowali?.. Wojtek coraz częściej zaczynał miewać myśli posępne, jakieś podszepty: „Utopię się chyba albo ucieknę gdzie daleko... Sam nie wiem, co zrobię, tylko zrobić coś muszę!“ Janek, widząc częstokroć przyjaciela mocno stroskanego i słysząc z ust jego słowa pełne zwątpienia, nietyle się tem niepokoił, ile wzrokiem swoim wyrażał zdziwienie człowieka obojętnego na wszystko, co się dokoła dzieje. „Masz się też czem trapić!“ przemawiały oczy Łukowskiego: „Takie rzeczy nic a nic mię nie obchodzą i koniec.“ Łukowski nie zdołałby wypowiedzieć tego słowem, ponieważ żadnego swego przekonania nigdy nie przyoblekał w językową szatę sądu; ale wzrok jego i całe zachowanie zdawały się to wyrażać. Natomiast Stępowicz ciągle budował jakieś teorye, czuł w sobie gwałt niesłychany, potrzebę wyrwania się z niezmiernie przykrego położenia, rzucił się w ostateczności, i to go nieraz zmuszało zawołać: „Po co ta nauka? Bez nauki w szkole można też żyć na świecie!“ Janek mu wzrokiem odpowiadał najobojętniej w świecie: „Dawno już o tem wiedziałem.“ A czasem mruknął: „Naturalnie!“ — Wojtek, skoro raz zaczął

sobie uzasadniać, że bez nauki można się obejść, że „człowiek“ napróżno traci czas w szkole, to już gromadził w głowie dowody, które uzasadniały jego twierdzenie, a — wyznać należy — nie brakło i rzetelnych dowodów. Zniechęcenie do szkoły wzrastało oddawna, teraz dosięgało szczytu. Czasem jednak stawał chłopcu w myśli Szymoński, ten „belfer“, krzepiący wszystkich uczniów upadłych i wyprowadzający nieraz na dobrą drogę nawet „osła skończonego.“ „Gdyby to wszyscy nauczyciele byli tacy, w szkole byłoby dobrze — żyć nie umierać!“ Dwaj przyjaciele odbywali przechadzki na Karczówkę, na Kadzielnię, a zawsze Stępowicz wszczynał rozmowę o swoim położeniu bez wyjścia, snuł różne plany na przyszłość i po raz setny udowadniał, że nauka w szkole nie ma dla niego najmniejszej wartości. Razu jednego i Janek, pociągnięty przez wyznania towarzysza, jął bąkać, że i „mama“ jego ma taki sam pogląd na szkołę; słyszał bowiem kiedyś, jak mówiła do jednej pani: — „Gdyby nie to, że wypada“ przynajmniej cztery klasy ukończyć, toby się Janka już oddawna oddało na aplikację do biura.“ Stępowicz nie zdawał sobie jasno sprawy, co robi, jeżeli porzuci szkołę; ale w głowie jego nastęrczał się nieustannie obraz boru z lat pierwszego dzieciństwa, a duszy pachniało to życie. Nie mówił o tem, gdyż człowiek zwykle nie wypowiada głośno swoich najbardziej ulubionych pragnień, zwłaszcza gdy one mają na sobie piętno nadzwyczajności i ludzie mogliby je ośmieszyć. Ucieczka ucznia ze szkoły do lasu jest przecież zdarzeniem nadzwyczajnem, a bardziej jeszcze osobliwą

jest tęsknota za życiem w boru. Maj nadchodził, słońce wiosenne budziło przyrodę do życia. Wojtek wcześniej wychodził z domu do szkoły, przebiegał ulicę Sukowską, spoglądał ze wzgórza w pola, widział w oddaleniu ciemne smugi borów i zawracał, spieszył na wpół do ósmej do klasy, gdyż o tej godzinie była msza przed zaczęciem lekcji. Ziewając, zasiadał w przedostatniej ławie pomiędzy Leosiem Krukowskim a Jankiem i z przerażeniem myślał, że trzeba przesiedzieć znowu cztery godziny do dwunastej, a po południu—dwie, od drugiej do czwartej. Szczęście, jeśli w którejś z tych ogromnie długich godzin przypadała lekcya Szymońskiego, mającego talent wprawiać w ruch umysły całej klasy. O, wtedy i Leos nie czytał książki, Janek nie kreślił główek, kwiatków, zygzaków, Wojtek nie myślał o niebieskich migdałach, nie ziewał! Raz, że zapal szczery starca mimowolnie każdemu się udzielał, następnie—powaga profesora miała w sobie jakiś majestat zniewalający do szacunku nawet trzecio i czteroklasistów, nareszcie bystre oko, czujna uwaga dosięgały każdego ucznia. Któregoś dnia Leos tak się zaczytał w książce, że to zwróciło uwagę Wojtka. Pilny czytelnik uśmiechał się nieustannie, miał na policzkach wypieki gorączkowe, a gdy od książki oderwał oczy, błyszczalo w nich wielkie ożywienie. Zapytany niespodziewanie o coś przez profesora, nie umiał dać odpowiedzi, otrzymał surową naganę, poczem z największą skwapliwością jął się znowu do czytania. Stępowicz trącił kolegę łokciem i zapytał:

— Co cię tak cieszy?

— Daj mi pokój, nie przeszkadzaj! odburknął Leos niecierpliwie i czytał w dalszym ciągu. Wybiła dwunasta, głos dzwonka szkolnego zwiastował zakończenie lekcji porannych i w klasie rzęknął się zgiełk zgarniania, składania książek, kajetów. Krukowski ciągle jeszcze czytał i czytał, tylko podczas modlitwy wsunął książkę głębiej w szufladę. Zrobił się ruch, hałas, ponieważ nauczyciel opuścił klasę i uczniowie puścili lejce różnym wybrykom, niczem już teraz niekrępowanym. Nas'ala cisza, tylko z korytarzów dochodził odgłos tupotania nóg licznych. W klasie trzeciej, kiedy tam wszedł Jacek, ażeby powymiatać śmieci, Wojtek jeszcze krępował paskiem rzemiennym książki i kajety, a ukradkiem spoglądał na kolegę zatopionego w czytaniu.

— Bo może panowie mają odsiadywać kożę? spytał Jacek, polewając podłogę wodą przed zamiataniem.

Na te słowa porwał się Leos, wpychał w kieszenie kajety, książki szkolne, a swoją drogą doczytywał stronicę w otwartej książce.

— Wynośmy się, bo nas Jacek gotów wymieść ze śmieciami! zawołał Stępowicz i nareszcie wypchnął kolegę z ławy, a kiedy już byli na ulicy, rzekł:

— Tyś gotów, widzę, wyrzec się obiadu dla czytania?

— Żebyś wiedział, co za książkę teraz czytam! odparł Krukowski z zapalem. — Niech się schowa Robinson Kruzoe, Awanturnik czyli Dyabła Góra, Żyd wieczny tułacz, Kupiec paryski! Powiadam ci, pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się dostać takie

dzieło, że się od czytania nie mogę oderwać!.. Nadzwyczajnie ciekawe, ach, prześliczne! Zacząłem czytać wczoraj wieczorem - i zostało mi jeszcze cztery kartki do końca: w klasie ogromnie człowiekowi przeszkadzają.“

— Cóż to to jest takiego?

— „Rynalde Rynaldyni, sławny bandyta włoski!“ — zawołał Leoś, wpatrując się w kolegę.

— To niby rozbójnik?

— Widzisz, rozbójnik rozbójnikowi nie równy...

Rynaldyni był, możnaby powiedzieć rycerzem mężnym i często takich zwyczajnych rozbójników zwyciężał, a ludziom biednym nigdy krzywdy nie robił. I Leoś zaczął opowiadać bardzo wymownie wszystkie wypadki ważniejsze z życia Rynaldyniego. Wojtek z początku słuchał nawpół - uważnie; ale Krukowski, uszczęśliwiony, że znalazł słuchacza, z którym może podzielić żywe wzruszenia, wpadł w niezmierny zapak: opowiadał słowem, a wyrazem twarzy, oczu, ruchami rąk, głowy, całego ciała popierał opowiadanie i wywarł na kolegę wrażenie nadzwyczajne. Stępowicz był na przedstawieniu widowiska teatralnego, dał się porwać grze aktorskiej Krukowskiego, zapomniał o rzeczywistości: Rynaldyni napelnił jego duszę uwielbieniem. Romantyzm gorący, szczery pannaował wówczas w życiu, z życia przechodził do książek, a z książek — znowu do życia: jeszcze się był nie zużył, nie spowszedniał i każdy umysł gorętszy napałwał się wonią tego kwiatu, z kąd czerpał zarazem podniecie do czynu. O, jak rozkosznie było marzyć

o spełnieniu czynów świętych a nieprawdopodobnych! Nasi trzecioklasiści zбочyli z drogi, wstąpili do ogrodu publicznego i tam w ustronnej alei zajęli ławkę. Czas schodził im widać bardzo szybko, skoro się opamiętali wtedy dopiero, kiedy ujrzeli dwóch jakichś uczniów, ciągnących ku szkole na lekcye popołudniowe. Powstali co tehu i słyszeli, że zegar wieżowy wybijał trzy kwadranse na drugą. Za chwile spędzone w rozkoszy umysłowej musieli zapłacić głodem, ponieważ nie mieli już czasu na zjedzenie obiadu. Należy przypuszczać, że duch czasu nie zmienił się dzisiaj pod tym względem i niejeden nowożytny romantyk idzie bez obiadu do roboty. Wypadki w trzeciej klasie już teraz szybko następowały po sobie. Leoś, Wojtek i Janek razem wychodzili z klasy, „odprowadzali się“ do domu: ten, który mieszkał najbliżej szkoły, odprowadzał mieszkających w okolicach odleglejszych i nareszcie sam wracał. Teraz już, dzięki Rynaldyniemu, Stępowicz zawsze chadzał z Krukowskim, Janek — czy szedł z tyłu, czy obok — nie wtrącał się nigdy do ich rozmowy, a nigdy go też nie pytano o zdanie: on nie miał własnego sądu, ale się zgadzał na wszystko, co dwaj koledzy postanowili. Leoś, wygadany, kawalek literata, dosyć lekceważył Łukowskiego, na co Wojtek odpowiadał: „Jeszcześ go dobrze nie poznał — to dusza!“ Przedewszystkiem Stępowicz i Krukowski przysięgli sobie nawzajem przyjaźń „do grobowej deski“; to było w modzie podówczas. Następnie, ponieważ obaj zgadzili się najzupełniej, że nauka w szkole jest czystą stratą czasu,

postanowili opuścić szkołę i w górach Świętokrzyskich prowadzić taki sam sposób życia, jaki w Apeninach wiódł Rynaldo Rynaldyni. Janek szeroko otworzył oczy, kiedy mu koledzy przedstawili gotowy plan wyprawy i to z terminem dnia, godziny, zapowiadając ogromnie stanowczo, że tak być musi nieodwołalnie — „niema żartów.“ Krukowski spostrzegł zdziwienie, wahanie się tego trzeciego w związku; więc wypalił do niego mowę, w której kładł główny nacisk na zaszczyt, jaki oczekuje młodzieńca wstępującego do bractwa „rycerzy błędnych.“ „Niejeden król nawet, — mówił — zanim zasiadł na tronie, okrył się wprzód sławą, szukając przygód w życiu tułaczem.“ Wojtek doskonale wiedział, że ta przemowa wcale nie trafi do przekonania Janka i rzekł od siebie:

— Jeżeli ja pójdę, cóż ty tutaj sam będziesz robił?

— Taak? Pójdiesz?.. Naturalnie, ja także... — odpowiedział Łukowski zupełnie spokojnie.

Nazajutrz, we czwartek po południu, znowu odbyli posiedzenie tajemnicze na strychu gmachu seminarium. Tutaj przedewszystkiem zaznaczono, że stosownie do poprzedniej uchwały, czas wyruszenia na wyprawę przypada w sobotę o ósmej wieczorem i że o tym czasie punktualnie wszyscy muszą już być na punkcie zbornym — w znanej grocie na Kędzielni. Do tego czasu każdy z uczestników wyprawy miał obowiązek poczynić odpowiednie przygotowania: gromadzić pieniądze, oręż, żywność. Leoś, który przepadał za okazałością obrzędów, tajemniczością i patrzył na

rzeczy jakby z teatralnego punktu widzenia, zażądał następnie, ażeby trzej towarzysze, klęcząc z ręką do góry wzniesioną, związali się przysięgą uroczystą na wierność wzajemną. „Klnę się na wiarę rycerską, na honor i na wszystko, co jest święte dla rycerza, że nigdy w boju nie opuszczę podle swoich towarzyszków, że jak lew będę walczył, gotów przelać za nich kroplę krwi ostatnią.“ Taką rotę przysięgi powtórzyli za Krukowskim, a on przemówił potem z zapalem, wodząc im, jako nieuchronnie ktoś musi być wodzem wyprawy owej i należy go teraz już wybrać, uznać. „Jest to bardzo trudna rola — mówił — gdyż wódz idzie na czele, nadstawia głowy, powinien pamiętać o wszystkim i — znać się na sztuce rycerskiej.“ Był pewny, że dwaj towarzysze jednomyślnie okrzykną go za swego wodza. Ale Stępowicz widocznie miał taką samą ambycję i milczał, a Łukowski znowu czekał, co powie Stępowicz. Uraziło to Leosia, który uważał siebie za twórcę imprezy i czuł w sobie jak najwyraźniej powołanie do sławy, wielkości. Z tem wszystkim należało wybrać wodza, skoro on był konieczny dla dobra wyprawy i postanowiono zdać się na węzełki; od współubiegania się atoli na tę godność wyłączono Janka, a poruczono mu tylko czynność trzymania w garści dwóch rogów brudnej chustki do nosa: węzełka i nie węzełka. Los rozstrzygnął — Krukowski został wodzem. Przez dwa dni odbywały się nieustannie porozumienia, konszachty trójki hultajskiej, a Janek ciągle pozostawał w jakiejś niepewności i, jedynie popychany przez Wojtkę, czynił potrzebne przygotowania. Wypadało spieszyć się ze

sprzedają płaszczów, szlafroków, bielizny, gdyż żydzi handlarze nie mieli wówczas prawa mieszkać ani nawet nocować w Kielcach: przybywali z Chęcina rano, a przed nocą musieli opuszczać miasto. A tu szabas zaczyna się już w piątek o zmierzchu i żyda w Kielcach ani widu ani słyhu. Jednakże energiczny Stępowicz i żadnej lekcji w szkole nie opuścił i wysprzedał różne rzeczy swoje jako też Łukowskiego. Słynął był pod owe czasy handlarz starzyzny, niejaki Wilk, który głównie z uczniami prowadził interesa, i on to właśnie dostarczył Wojtkowi mamony, a uniósł z sobą pełny worek odzieży trzech awanturników, palących mosty za sobą. Któż z uczniów szkoły kieleckiej nie znał Wilka i Lisa? Ci dwaj handlarze niejednego skusili na ulicy, że sprzedał pasek, podszewkę z czapki, kieszenie munduru, chustkę do nosa, nawet—skarpetki. To się nazywało „zrobić handel naprędce.“ Uczniom starszym pożyczali pieniądze na zastaw i brali procent tylko dziesięć groszy od rubla na tydzień. Oni nas też wychowywali. W sobotę więc wieczorem Wojtek poszedł do Janka, który był blady, roztargniony i parę razy powtórzył: „Strasznie się czegoś boję.“ Wyglądał tak, jak gdyby nie miał chęci stawić się na punkcie zbornym i, tylko ulegając wpływowi przyjaciela, dał się wyciągnąć z domu, a szedł jak na ścięcie milczący, zgnębiony. Było już po ósmej, kiedy dwaj przyjaciele przybyli do ciemnej groty na Kadzielni, dokąd Stępowicz już poprzednio pozwłoczył był zapasy żywności, oręż, amunicję, umieścił to wszystko w dole, nakrył gałęziami i kamieniami. Łukowski bał się

jeszcze bardziej w ciemnościach jaskini, drżał jak osika, poszeptywał głosem cichuchnym: „Co będzie?..“ Teraz Wojtek zdjął z siebie mundur, poobrywał guziki świecące, przewrócił podszewką na wierzch i zalecił Jankowi to samo, mówiąc:

— Przystajemy być studentami i nigdy już nie będziemy!

Tak ubrani, w czapkach na wywrót i bez daszków, spodnie w cholewach butów, wyglądali jak oberwańcy-włóczykije. Dopiero Stępowicz wydobył z jakiejś dziury żerdź zakończoną długim goździem i podał ją przyjacielowi z temi słowy:

— Stań u wejścia na straży i nie wpuszczaj tu nikogo, kto ci nie wymówi naszego hasła „amen!“ Ja muszę powydobywać z dołu różne rzeczy potrzebne nam do dalekiej drogi. I z kawałkiem płonącej świeczki zapuścił się w głąb jaskini, gdzie, uklękawszy nad dołem, począł pracować. A Janek wziął pikę w drżące ręce, stanął przy wejściu i z trwogą spoglądał przed siebie, myśląc, co będzie, jeżeli się niespodziewanie ukaże naprzykład inspektor. Po jakimś czasie posłyszał cichy odgłos kroków, powstrzymał w sobie dech, wyteżył wzrok, widział jakąś postać w zmroku, przybliżającą się do groty. Leoś, nie Leoś?... Nie, to ktoś zupełnie do Leosia niepodobny! Łukowski nie miał odwagi zapytać o hasło i przerażony przytulił się do skały tak, że przybyszowi pozostawił swobodne przejście do wnętrza jaskini. Rzeczywiście, trudno było o zmroku w przybyłej postaci poznać wodza wyprawy, Krukowskiego, który się przebrał i zmienił stosownie do swoich wyobrażeń o fizyonomii

i postawie bandyty. Przyprawił on sobie olbrzymie wąsiska, brodę ogromną, wdział na głowę kapelusz z szerokim rondem, przybrany pękiem trzęsących się piór kogucich, peleryna odcięta od płaszcza spadała malowniczo z jego ramion i dozwalała widzieć za pasem nóż długi i błyszczący, a nogi ubrał w obcisłe spodnie i spadające na buty pozbawione cholew. Szedł poważnie, podpierając sobie bok jedną ręką, drugą trzymając na rękojeści noża. Na taki widok strażnik groty struchlał, przycupnął z swoją dzidą i szeroko wytrzeszczonemi oczyma widział, jak tajemnicza osoba podążyła w kierunku Wojtka. „Dobryś, wszystko się skończyło!“ Strach ma wielkie oczy, i to mianowicie strach w zmierzchu późnym wieczornym; więc też wystraszonym oczom Janka postać cudaczna Leosia przedstawiła się nadzwyczajnie, olbrzymio. Drgnął z przestachu i Stępowicz, kiedy przy mdłym świetle łójówki spostrzegł osobliwego bandytę, którego poznał dopiero po głosie.

— A gdzie jest trzeci?—zapytał Krukowski. „Jak to, nie spotkałeś się z nim przy wejściu? „Nie było tam nikogo.“ Wojtek uderzył się w czoło, powstał i biegł ku bramie groty, półgłosem wyzywając przyjaciela po imieniu. Ponieważ nie dawano mu odpowiedzi, a przytem dzida porzucona, na której się potknął, świadczyła o nieobecności strażnika, więc odrazu zmiarkował, że chwiejny w postanowieniach przyjaciel drapnął ze stanowiska. Jakże go tu odnaleźć w chwili tak nagłej?... Stępowicz nie mógł się obyć bez Janka, koniecznie potrzebował tego współzycia, czuł jak gdyby brak narzędzia niezbędnego pod ręką.

W mgnieniu oka przeprowadził takie rozumowanie: „On mógł zbiedz tylko do domu i albo go tam już zastań, albo uprzedzę przybycie jego.“ Porozumiał się szybko z Leosiem: „Czekaliśmy na ciebie, poczekaj ty teraz!“ I drogą najkrótszą puścił się do miasta. Rozżalony, zły, zziąjany, przypadł do domu, którego rozkład znał jaknajdokładniej; wszedł na podwórze i zajrzał przez okno do pokoju przyjaciela, gdzie było ciemno, cicho. „Widać nie powrócił jeszcze... On zawsze łązi jak nie na swoich nogach... Kto wie, może już przyszedł i odrazu kopnął się do łóżka?“ W tej niepewności wlaźła bramę, czatował. Przechodziła szewcówna, do której, jako sąsiadki z oficyny, Janek robił słodkie oczy. Za nią, jak z procy rzucony, wpadł pomocnik cyrulika: zaczęli szeptać, ścisnąć się za ręce, a potem chcieli wleźć za bramę. Spostrzegli człowieka i co tchu pierzchuęli—każde w swoją stronę. Z ukrycia za bramą można się także wychowywać. Pst! Ktoś się skrada, idzie na palcach jak złodziej. Wojtek poznał natychmiast tego kłosa, wyskoczył nagle, chwycił go za rękę silnie i szepnął z ogromnym naciskiem: „Zawracaj!“—Łukowski skamieniał, piorun takby go nie przeraził. Doznawał właśnie niejakich wyrzutów sumienia z tego powodu, że opuścił przyjaciela; a tu go przyjaciel ów ściga, przesładuje—niczem inspektor—i ciągnie z siłą nieprzepartą wszędy, gdzie mu się żywnie podobą. Nie zatrzymali się ani przez chwilę w owej sieni. Janek doznawał wrażenia, jak gdyby był wążką plewą, którą potężny prąd rzeki porwał i unosi. Prze-

szli w milczeniu i z pośpiechem ulicę, gdzie ich łatwo mógł spotkać wszędochytny pan inspektor albo—któryś z bystrookich diadków. Skoro się nareszcie wydostali na tak zwane Planty, Wojtek, nie popuszczając z swej dłoni ręki zbiega, jął go dręczyć wyrzutami: „Wstydz się! Postąpiłeś sobie podle: zdradziłeś, opuściłeś przyjaciela! Złożyłeś przysięgę, złamałeś ją i ja teraz muszę się wstydzić za ciebie!” Naturalnie, Janek nie był w stanie odpowiedzieć: „Przyjacielu, ciężko mi oto żyć z tobą, gdyż skarb przyjaźni wygląda jak kajdany, które mi nieublaganie narzuca twoje samolubstwo!” On się istotnie wstydził swego postępowania i w pomieszeniu za całą odpowiedź wybelkotał: „Boję się czegoś.” „Teraz już późno!” — odrzekł stanowczo Stępowicz. „Jesteś tchórz, piecuch!” Janek westchnął. Rozmowa się urwała i już milcząc przybyli na Kadzielnię, gdzie zastali Leosia ponad grotą, na wierzchołku góry: pogwizdywaniem dawał znak o sobie, a siedział na kamieniu z nogami skrzyżowanymi i skończył właśnie zajadać słoje konfitur, których Łukowski dostarczył z domowej szpizarni do skarbcza zapasów żywności. „Nie macie pojęcia—mówił Krukowski, odrzucając w krzaki słoje próżny—jakby to pięknie było, gdybyśmy tu zapalili ognie bengalskie, a ja, oświetlony zielono i czerwono, zaśpiewałbym arję z „Zampy.” I zaczął nucić:

„Oh, przecudowną—szesnaście lat
Alicję z Florencji wielbił świat.

Bronić serca w tym wieku—
Ileż trzeba sił!
Ten, co ją uwielbiał,
Zwodzicielem był.“

— Oj, wódz z ciebie prawie do śpiewania!—Mruknął Wojtek. — Nie barłóż, bo przecie tu nie możemy nocować! — Mianuję cię swoim kapitanem! — odpowiedział z przesadą Leos. Stępowicz powynosił z grotty oręż, amunicję, prowianty. Nabił starą strzelbę skałkówkę, kupioną za półtora rubla od kozaków — gruchot ogromny — i przewiesił ją sobie przez ramię. Wódz uzbroił w długi pistolet, którego kurek oburącz z wielkim wysiłkiem odwodził, ażeby nałożyć kapiszon. Zapasy żywności przeznaczone na wyprawę mieściły się w owych czterech łokciach bielizny, stanowiącej spodnie ubranie nóg obu: były to dwa długie worki wypchane kawałkami chleba, sera, maśłem, bułkami, kiełbasą, orzechami, a u góry połączone tak, że rozkraczone mogły wygodnie spoczywać na barkach Janka. Na czele oddziału szedł Leos, za nim—Janek ze szpizarnią uzbrojony w dzidę, na tyłach postępował Wojtek. Od Kadzielni ruszyli naukos polami w kierunku góry lesistej, zwanej „Telegraf.” Zostawili na prawo cmentarz, przecięli zosę i szczęśliwie dotarli do lasu. Kiedy się teraz przedzierali przez gąszcze i wychodzili na różne polanki, przodujący wódz ciągle przystawał i do drepcącego mu po piętach Janka szeptał z niepokojem: „Tam ktoś stoi!...” A Janek znowu odwracał głowę

do Wojtka, ukazując mu ręką rzekomego stracha. „Naprzód!” — wołał Stępowicz, niecierpliwiąc się, i bandyci pomykali dalej. Ale że przystawania owe nie ustawały, więc Wojtek wysunął się na czoło i już razno, bez żadnej mitregi prowadził towarzyszków. Leosć jednak widocznie nie miał chęci wystawiać się na sztych i od tyłu; utykając na pniakach, krzewach, tłoczył się obok Janka, a przytem pomrukiwał: „Nie wiedziałem, że w lesie jest tak ciemno.” Zresztą każdy rozmawiał teraz tylko sam z sobą. Cma boru napełniała umysły jakimiś przeczuciami złowrogieści, głośniejsze załamane się gałęzi pod stopą, furknienie ptaka spłoszonego ogromnie przyspieszały bicie serca naśladowców Rynaldyniego. Było zapewne dobrze po północy, kiedy Wojtek przystanął i rzekł: „Trzeba odpocząć!” Nie tracąc czasu, począł zgarniać susz gałęzi, mech, igły opadłe, aby rozniecić ognisko. Za chwilę potem trzeszczały w ogniu igły jałowców, jedliny i sośniny, a w blasku czerwonego światła jeszcze straszliwiej przedstawiała się głębia ponura czarnego boru. Janek, wybladły, z twarzą zmęczoną, ciągle wodził wokoło oczyma, w których się przebijały niepokój i podejrzliwość. Leosć miał także bardzo rzadką minę. Jeden Wojtek był tu teraz jak w domu: rozwiązał worki z żywnością, wydobyl chleb, masło, serdelki, zajądał żwawo, odzywając się żartobliwie: „Przecież tu chyba można się już nie bać inspektora.” Łukowski drgnął jednak na to wspomnienie. Prawie jednocześnie pułacz huknął w oddaleniu takim głosem przejmującym, jak gdyby człowiek mordowany zwywał pomocy. „Co to za ję-

ki?” — wyszeptał bojaźliwie Leosć, któremu krzyk ptaka zmroził ciało i zjeżył włosy na głowie. „Jest sobie w boru ptaszek taki razem ze słowikiem śpiewający po nocach... Oo, żeby on bliżej nadleciał, spróbowałbym, czym nie zapomniał strzelać!” — mówił Stępowicz, poprawiając ognisko. „Ale cóż wy obaj macie takie jakieś miny powarzone?... Stało się! Do Kielc przecie już nie wrócimy... No, trzeba przekąsić, przespać się, ażeby mieć na jutro siły do drogi!” Spokój Wojtka oddziaływał widocznie na towarzyszków, gdyż zabrali się do zaspokojenia głodu. A on, spożywszy trzy serdelki i znaczną ilość chleba z masłem, puścił się w las na poszukiwanie woły, aby ugasić pragnienie. Zanim powrócił, godzina nieobecności jego wydawała się wiekiem dla osamotnionych. Przybył nareszcie i oznajmił, że o jakie pięćset kroków jest źródło przewybornej wody; potem nacisnął czapkę na uszy, rzucił się na murawę mechów, podłożył rękę pod głowę i wnet zasnął snem sprawiedliwego. Krukowski i Łukowski czuwali, kipiąc nad ogniskiem dogasającym; znużenie jednakże przemogło obawę, padli na ziemię i rozległo się powzechne chrapanie.—Ranek wiosenny! Gwizdanie kosów, drozdów różnych, już od świtania brzmiało po całym boru, a z pojawieniem się słońca na niebie powstał gwar śpiewny zięb, szczygłów, czyżów, dzwońców, pomieszany z krakaniem wron, gawronów i ze stukiem prac dzięciołowych. Bodajto dzień! Z światłem jego zniknęły obawy nocne, poprawiły się usposobienia wędrowców, którzy drżeli wczoraj wśród ciemności.

Leosъ przyprawił sobie znowu wąsy, brodę, znowu udawał wielkiego zucha tak, że nawet na pojedynka w las się zapuścił, podczas gdy Wojtek porządkował śpizarnię. Wybiegł właśnie na drogę, która od wsi jakiejś prowadziła ku Kielcom i ujrzał tu kilka bab podążających do miasta z koszyczkami nabiału na sprzedaż. Na widok człowieka wąsatego, brodatego, w ubiorze niezmiernie cadacznym, uzbrojonego w nóż połyskujący, w pistolet, kobiety wydały okrzyk przerażenia i w popłochu ogromnym zawróciły pośpiesznie. Jedna z nich, — najlękliwsza widać — uchodząc w trwodze, porzuciła nawet na drodze koszyczek z nabiałem. Baby te spłoszone pędziły z powrotem do ognisk domowych, a ludziom napotkanym opowiadały naprędce i, robiąc widły z igły, jako na gościńcu czatuje „zbój straszeczny,“ czy też może „jaki z piekła rodem.“ Więc każdy zawracał do wsi położonej za lasem, dodawał do posłyszanej wieści swój własny dodatek i nagle w spokojnych Dyminach stał się zamęt, rwetes niesłychany. Ogromne znaczenie miała tu okoliczność, że baba, która dobrowolnie porzuciła koszyk, ażeby sobie ulżyć w ucieczce, była żoną sołtysa i dowodziła z zapalem, jakoby zbójca przemocą wydarł jej nabiał, a przytem groził odebraniem życia. Sołtys, naturalnie, zawrzał gniewem i oburzeniem i a takie zuchwalstwo kradzieży spełnionej i morderstwa zamierzonego. Urzędnik gromadzki, bez najmniejszej zwłoki, wydał rozkaz, aby co tchu przygotowano dwie podwozy: wsadził na te wozy kilkunastu chłopów dzielnych, uzbrojonych w sążniste pały i tak wy-

ruszono przeciw nieznanemu napastnikowi płci słabej na drodze publicznej. — Wróćmy do naszych bandytów. Krukowski, widząc, że ludzie przed nim pierzchają, nabral otuchy i — ma się rozumieć — poczuł w sobie bohatera: najprzód rzucił się na łupy, to jest — na perzucony koszyk z garnuszkami śmietanki, następnie promieniejący tryumfem wrócił do obozu. Teraz z właściwą sobie chełpliwością wymownie opowiedział towarzyszom, jak na drodze z pistoletem w jednej ręce, w drugiej z „puginałem“ — tak nazywał nóż kuchenny — natarł na gromadę ludzi i odniósł zwycięstwo stanowcze. „Jeżeli tak codziennie będzie, — dodał — możemy żyć jak panowie!“ Wojtek coś podejrzliwie spoglądał na Rynaldyniego, ale przyznał chętnie, że śmietanka odgrzana przy ogniu będzie stanowiła śniadanie nieporównane. Jakoż po chwili trzej towarzysze — każdy z garnuszkami śmietanki — rozkoszowali się wyśmienitym smakiem ciepłego śniadania. Teraz Stępowicz znowu obciążył Janka workami z żywnością, przydał mu nadto i koszyczek z garnuszkami wypróznionymi, poczem dał hasło ruszenia w drogę. „Za blisko Kielc jesteśmy — mówił — i długo popasać tutaj nie możemy.“ Przebywanie lasu w dzień jasny, pogodny wydawało się przechadzką przyjemną w porównaniu z wczorajszą nocną wędrówką. Szli gęsiego ścieżką, która ich pierwotnie wiodła w kierunku południowo-wschodnim. Naraz na drodze ich stanął jakiś chłop z potężną pałą i spoglądał ku idącym. Leosъ wysunął się naprzód w mniemaniu, że chłop zemknie na widok jego postaci orężnej; ale chłop stał w miejscu, wstrzą-

sał połą i zawołał głośno: „Hop, hop!“ Stępowicz postanowił uniknąć spotkania, mówiąc: „To zapewne strażnik leśny.“ I zmienił kierunek pochodu, zawrócił ku północy. Uszli może z pięćdziesiąt kroków, znowu spostrzegli innego chłopca, który także wydał okrzyk: „Hop, hop!“ Zaniepokoiłi się i usiłowali powrócić na miejsce, zkąd wyruszyli przed niedawnym czasem. Przyspieszyli teraz kroku, ale niebawem ujrzeni znowu w oddaleniu chłopca uzbrojonego w pałę i pokrzykującego: „Hop, hop!“ „Obława, widzę“, poszeptał Wojtek, przystając. „Ci ludzie polują—nieprawdaż?“ — zagadnął Krukowski z niepokojem. „Ee, chłopci nie polują przy święcie!“ odparł Stępowicz. „Mam jakieś złe przecucie“... Z temi słowy zwrócił się w stronę największych gąszczów, a za nim—dwaj towarzysze srodze przerażeni. Wtem naokoło zabrzmiało i rozległo się w echach: „Hop hop!“ Wojtek stanął i rzekł cichym głosem: „Żle! Otoczyli nas łańcuchem chłopów... Możemy im się wymknąć, zmykając tylko pojedynkiem... Ty—rzekł do wybladłego Janka, ukazując mu ręką kierunek—rzuc toboli i kopnij się, ile ci nogi wystarczą w tamtą stronę!... Twoja droga—mówił do Leosia—prosto, jak strzelił... A ja sobie już dam radę.. Pamiętajcie, że wieczorem zjeździemy się pod Kawęczyną! No, śmiało!“—rzekł i całym pędem rzucił się w gęsty zagajnik. Łukowski patrzył szeroko wytrzeszczonemi oczyma, a jakaś siła wewnętrzna z wielkim rozmachem pchnęła go za Wojtkiem. W parę minut potem las trząsł się od wykrzyków: „Trzy-

maj! Łapaj!“ Cóż się podczas tego dzieje w Kielcach? W niedzielę rano, przed mszą studencką, inspektor już wiedział o zbiegostwie Stępowicza i Krukowskiego. Ambasader bowiem i gospodyni, u której Leos mieszkał, stosownie do przepisów obowiązujących stancye, donieśli, że ci dwaj uczniowie nie nocowali w domu z soboty na niedzielę. Tylko nieobecność Janka była jeszcze tajemnicą d'a władzy, ponieważ pan radca—obecnie wdowiec—grał w preferansa do trzeciej po północy, a przeto spał do dwunastej rano i wtedy dopiero służąca mu oznajmiła: „Proszę pana, nasz panicz gdzieś się zawieruszył!“ O takich zbiegach szkoła zawiadamiała policję, a nie wiemy tego, co za władza rozsyłała listy gończe po guberniach i powiatach. Przedewszystkiem inspektor udzielił wiadomości dyrektorowi, który się zmarszczył i rzekł: „Trzeci wypadek zbiegostwa ze szkoły w tym roku szkolnym!... Brak ścisłości w kontroli, panie kochany... Ha, niech pan robi, co przepisy nakazują! Proszę nie pominąć żadnej formalności! Kto odpowiada za cudze błędy przed władzą, musi postępować zasadniczo.“ To przemówienie znaczyło, że inspektor dostał kapelusz i że powinien zebrać na gruncie pozytywne dane o zbiegach, ażeby szkoła wiedziała, co powiedzieć na swe usprawiedliwienie przed władzą wyższą. Więc o godzinie wpół do jedenastej pan inspektor zwiedził „gniazdo psów seminaryjskich“, przekonał się, że Stępowicza istotnie nie ma, że brakuje jego odzieży, bielizny, pościeli i niektórych książek szkolnych. Wybadał pensyonarzy,

co wiedzą o zamiarach zbiegłego; ażeby zaś „być ścisłym w kontroli,“ postanowił dwóch podejrzanych osadzić jutro w kozie. Spisał sobie wszystkie szczegóły, zaopatrzył je we własne wnioski, a potem udał się na stancję, gdzie zamieszkiwał Krukowski, zupełnie w takim samym celu. Spracowany, spocony na czole i na nosie—ciepło było, a on w szopach—zdązał do kancelaryi już po pierwszej, kiedy spotkał radcę Łukowskiego, zmierzającego ku znanemu handlowi win i „delikatesów.“ „Kochanego inspektora!“ „Pana radcę dobrodzieja!“ „Właśnie o tej porze dusza chrześcijańska rży do kieliszka gorzałki.“ „Pedagog i na to nie ma czasu.“

„Nie zwracajno głowy, inspektorku!“ „Słowo honoru daję, mam pracę bardzo pilną!“ „Można przecież i pić i pracować: pracuje się głową a jednocześnie łyka się gardłem trunek. „Ha, ha, ha!“—roześmiał się inspektor tak, jakby istotnie rżał do gorzałki. „Jedno drugiemu nie przeszkadza.“ Weszli do „handelku“ i tu przy „wódeczce,“ przy „kawiorku“ i przy „porterku“ dowiedział się inspektor, że Janek Łukowski także zbiegł z domu. Radca był w przepysznym usposobieniu, żartował sobie z tej ucieczki syna: „On się tu znajdzie, znajdzie!... Co prawda, dziwić się nie trzeba młodemu! Nam także książka śmierdziała, kiedy się było młodym!... Swoją drogą nauczka mu się przyda: — nastraszyć smarkacza—oo! Wy to umiecie... Ja tam kwituję z jego patentu, niech mi tylko skończy cztery klasy!“ Pan inspektor—jeśli mu nad głową nie wisiał jak miecz Damo-

klesa r. z. kaz dyrektora — lubił, nawet bardzo lubił, i wypić, i pogwarzyć, i w karty pograć. Opuścił więc teraz wielce przyjemnego towarzysza, chociaż go radca przytrzymywał to za rękaw, to za pelerynę szopów, a całował aż miło w oba policzki. Wybiegł z handlu, oblizując się, popędził do kancelaryi, ażeby sporządzić protokół zbiegostwa, na zasadzie czego dyrektor mógł dopiero postępować „zasadniczo,“ to jest złożyć raport do swej władzy, a policji przesłać wiadomienie. Zdyszany, z głową cokolwiek zapróżoną—alkohol łatwo go odurzał — wpadł do kancelaryi i na arkuszu czystego papieru, pagina fracta, zapisał znaną formułę: „Działo się w kancelaryi Dyrektora Szkoły Wyższej Realnej Kieleckiej dnia“... Naraz drzwi się otwały, na progu staował Jacek i bardzo uroczyście przemówił w te słowa: „Przyjechało oto z sołtysem sześciu chłopów z Dymin, przywieźli na furze trzech studenciaków i zapytują, komu ich mają zdać na ręce.“ Inspektor złożył pióro, namyślał się przez chwilę, gdyż go uderzyła okoliczność, że chłopów jest sześciu i—sołtys: sprawa miała więc charakter urzędowy i należało ją, jako taką, załatwić tylko w miejscu urzędowania. Zapytał najprzód Jacek: „Czy mają przytem jaki papier od wójta gminy?“ A kiedy otrzymał odpowiedź przeczącą, rzekł krótko: „Niech zbiegów dostawią do kancelaryi!“ Rozległy się niebawem odgłosy kroków ciężkich; chłopcy zaczęli wchodzić parami, a każda para wносиła chłopaka z nogami i rękoma skrępowanymi w postronki. Ostatni wszedł sołtys i drzwi za sobą zamknął, gdy

przybyły także baby w takiej ilości, że kancelaryja nie byłaby ich pomieściła. Znalazł się tam i Jacek, który już przedtem wystąpił wobec chłopów jako urzędnik szkolny: złażał ich, sfukał za znęcanie się nad studentami; teraz zaś, wcale nie pytając inspektora o pozwolenie, kozikiem porozcinał pęta zbiegów. Właściciele postronków z bólem serca spoglądali, jak stróż ciął na kawałki ich powrozy nowe. Posypały się pytania inspektora, zeznania chłopów, a wszystko to ku wiecznej rzeczy pamiętce utrwalono na piśmie i stwierdzono podpisami. Śledztwo, ściśle przeprowadzone, wykazało, że „skubencja,“ z których jeden przebrał się za zbója, winni są napaści na baby w celu grabieży kilku garnuszków śmietanki. Jednakże sołtyska, główna oskarżycielka, wezwana do kancelaryi, stawiona do oczu winowajcem i przy parta do muru pytaniami inspektora, nie umiała dobrze wyjaśnić, czy wąsaty i brodaty zbój rzeczywiście wyrwał jej z rąk koszyk, czy go też sama upuściła.

— Panie święty, a czyby mi też kiedy przyszło do głowy uciekać przed nim, gdybym była wiedziała, że to młodziak taki, chróścielaszek!—mówiła, ukazując na Leosia. Chłopi przywłaszczyli sobie zdobyte łupy—strzelbę, pistolet, nóż, toporek, zapasy żywności przeto w zeznaniach ich nie było wzmianki o tych przedmiotach z obawy, ażeby nie zażądano zwrotu. Jako *corpus delicti* złożono w kancelaryi tylko wąsy i brodę Krukowskiego. Sprawa o napaść, dokonaną

bez oręża, zawsze łagodniej się przedstawiła. Chłopi mieli najwięcej urazy do Stępowicza.

— O, ten chybki w nogach, nie przymierzając jak zając! Nijak nam się nie dawał pojmać... Jeden parobek w pogoni za nim rozbił sobie łeb o drzewo i niewiadomo, co z tego będzie... Inny znowu w rozpędzie gruchnął nieszczęśliwie w wawóz okrutny, padł na kolana i teraz nie może powłóczyć nóg za sobą. Kiejby na ten przykład wypadło opłacać szpital, to po sprawiedliwości nie powinni z gminy ściągać kosztów... A cóż nasi trzej zbiegowie? Obraz nędzy i rozpaczy! Brudni, podrapani, przestraszeni, w odzieży poszarpanej, stali w kącie kancelaryi, wysłuchując w niemej trwodze oskarżeń, zeznań. Najpocieszniej wyglądał Leoś, którego śmieszny ubiór przypominał cygana, pokazującego sztuki na podwórkach i dziwnie odbijał od fizjonomii zgębionej przez doznane nieszczęścia. Utkwili wzrok w podłodze, a ożywiało ich jedno pragnienie: O, żeby to było można jaknajprędzej zejść ludziom z oczu, ukryć się bodaj pod ziemią. Drżeli na myśl, że lada chwila zjawi się surowy, ponury i cierpki w słowach pan dyrektor, on, który zawsze tak bardzo przestrzega, aby uczniowie zachowywali przepisaną formę w ubiorze. Chłopi zeznali, co było i nie było do zeznania, a ociągali się z odejściem, gdyż mieli nadzieję, że za dzieło pojmania „skubentów“ otrzymają nagrodę. Ale pan inspektor w treściwym przemówieniu dał im poznać bezzasadność podobnych wymagań. Skłonili się więc, wyszli i tylko szemrania nie-

zadowolonych dawały się słyszeć jeszcze za drzwiami: „Jako być może, ażeby tyle tarapatów, roboty, było za darmo?“. Cisza zaległa teraz kancelaryę; przerywał ją jedynie jakiś złowieszczy skrzyp pióra, którem zwierzchnik szkoły wykończył zamasyżcie protokołu i zaopatrywał w swoje uwagi. Wtem na korytarzu szkolnym rozległo się chrząkanie, jedna z cech znamienych osoby dyrektora i odgłosów stąpania z góry, tak odmienny od drepnięcia, suwania, szastania, prędkiego biegania innych pedagogów. Ubrany w surdut popielaty i takiż cylinder—tak się nosił na wiosnę i latem—wsparty na lasce z główką złotą, wszedł dyrektor pochmurny, roztargniony, uroczyście poważny. Stępowicz raz tylko ukradkiem nań spojrzął, a przypatrzył mu się lepiej niż przez cały czas swego pobytu w szkole. Wydało się chłopcu, że ten mąż wyniosły, posiwiały, doznaje cierpienia wewnętrznego z powodu złego postępowania swoich wychowanców. Myśl ukorzenia się, błagania o przebaczenie blysnęła nawet w tak nastrojonym umyśle Wojtka. Ochłódł atoli, kiedy dyrektor, po krótkiej rozmowie z inspektorem, odezwał się głosem, wyrażającym nienawiść i pogardę:

— Panie inspektorze, trzeba tę nierogaciznę zamknąć do jutra w karceresie! A potem—przykładna chłosta publiczna i relegacja! Straszliwie ponuro brzmiał w uszach zbiegów ten wyrok, gdyż „przykładna chłosta publiczna“ była to kara cielesna, którą wymierzano winowajcy wobec całej klasy, a niekiedy i wobec dwóch klas *ad hoc* połączonych. Karę

taką wymierzano wprawdzie bardzo rzadko, ale wymierzano. Dyrektor, choć wielowładny, nie miał jednak prawa skazywać ucznia samowolnie na te najwyższe kary, o których mowa. Potrzeba tu było uchwały rady pedagogicznej, czyli zgody grona nauczycielskiego. Zwolowano więc w takich razach przez okólnik z urzędu posiedzenie nadzwyczajne, celem rozpatrzenia sprawy i wydania wyroku na przestępcę. Prawda, że owa rada pedagogiczna było to narzędzie powolne w rękę dyrektora; ale, bądź co bądź, bez jej uchwały nie można karać wychowanka „przykładną chłostą publiczną“ i wydalić ze szkoły. Otóż, w poniedziałek już od rana jeden z diadków „wachter“, jak mówili uczniowie, obnosił okólnik, zapowiadający na wpół do piątej po południu posiedzenie nadzwyczajne w kancelaryi szkoły. Nauczyciele odczytywali i podpisywali okólnik, a tem samem zobowiązywali się do brania udziału w naradach. Tylko ksiądz prefekt był chory; Bożykowski, niby dla ratowania zdrowia, wyjechał za urlopem do Lipska na jakiś kongres filozofów; Stawski przysłał zawiadomienie na piśmie, że musi poprawiać wypracowania, ponieważ wizytator jest w Radomiu i do Kiele zjedzie dziś jutro. Ale i tak zebrała się znaczna większość prawomocna uchwałać. Pan dyrektor zagaill posiedzenie piękną przemową o potrzebie rygoru wobec groźniej wzmagającego się rozprzężenia obyczajów młodzieży, poczem wniósł do rozpatrzenia sprawę trzech zbiegów i postawił wniosek co do wymiaru kary. Sekretarz Lipicki trzymał pióro, inni

siedzieli i słuchali. Znamy już źródłowo tę sprawę, przeto nie będziemy jej odtwarzali podług przedstawienia dyrektora, który, jako wychowawca oskarżyciel, nie skąpił barwy czarnej, a zakończył temi słowy: „Jedna owca parszywa zaraża całe stado, a my mamy w szkole, niestety, aż trzy takie owce“! Zwykle na takich posiedzeniach wysłuchiowano mowy dyrektora, poczem sekretarz podsuwał uchwałę, przygotowaną na piśmie i nauczyciele podpisywali jeden po drugim. Czasem tam bąknął coś ksiądz prefekt, Szymoński, Stawski; ale wogóle panowała zgoda święta. Atoli na posiedzeniu dzisiejszem znalazł się *homo novus* między profesorami, świeżo mianowany na posadę nauczyciela chemii, Różewski. Opowiadano o nim, że nie z jednego pieca chleb jadał. Nauki pobierał we Francyi, ozeuił się w Anglii, a w Ameryce, ażeby nie umrzeć z głodu, już to wyrabiał sztuczne konfitury ananasowe, już nauczał dzieci plantatorów manier europejskich: przyzwicie chodzić, stać, kłaniać się, siedzieć, jeść i t. d. Chemik, zamiast podpisać teraz uchwałę, którą mu Lipicki podsunął razem z piórem, już umaczanem w atramencie, oświadczył, że zbiegostwa trzech uczniów nie uważa bynajmniej za przestępstwo, zasługujące na tak wysoki stopień kary.

— Jest to, co najwyżej—mówił spokojnie, przekonywająco—wybryk swawoli dziecinnej, dającej się niewątpliwie poskromić zapomocą napomnień, rad, przestróg, udzielonych chłopcom szczerze, po ojcowsku. Gdybym nauczał w klasie trzeciej, przyjąłbym

na siebie obowiązek poprawy tych zbiegów, co—zgodzicie się panowie—stanowi dla pedagoga interes bardzo nauczający. Uchwały, skazującej ucznia na chłostę, nie podpiszę, ponieważ kary cielesne są podług mnie wręcz szkodliwe dobrze pojmowanej sprawie wychowania już przez to samo, że budzą strach, a ciężko obrażają godność osobistą.

Dyrektor, nie przywykły do znoszenia oporności wśród „swoich“, uczuł jakby pchnięcie nożem w pierś: obrona praw godności osobistej uczniów zraniła ciężko jego własną godność osobistą. Stłumił w sobie jednak oburzenie i, jak przystało na przedstawiciela pedagogiki, odrzekł z pozornym spokojem:

— Nasza szkoła, panie profesorze, ma za sobą tradycję, wyrobione już i pewne zasady, których nie potrzebuje pożyczać sobie u antypodów.

Był to wyraźny przytyk do amerykańskich wyobrażeń nauczyciela chemii. Różewski z miejsca ołparł:

— Tak w życiu społecznem, jak i w szkole, tradycja i zasady muszą się nieustannie zmieniać, stosownie do rozwoju potrzeb, wymagań ducha czasu. Musimy ciągle, koniecznie, czerpać z doświadczenia wieków i narodów,—nawet antypodów—aby się nie dawać wyprzedzać innym w pracy. Że zaś obecnie wśród społeczeństw cywilizowanych panuje dążność do usunięcia z wychowania chłosty i do ograniczenia wydań uczniów z zakładów wychowawczych, więc szkoła kielecka ma obowiązek iść za tym prądem.

Przełożony szkoły był za nadto Jowiszem, ażeby się wdawał w dysputy i przeciągał rozprawy, widocz-

nie zmierzające do podkopania jego powagi. Uśmiechał się tylko szyderczo, wzruszył ramionami lekceważąco, a jednocześnie mrugnął na sekretarza, który wybornie odgadywał myśli swego zwierzchnika i natychmiast podsunął Szymońskiemu uchwałę do podpisu. Tymczasem, o zgrozo niebywała, stary matematyk odczytał uchwałę z uwagą, zażył tabaki i ani myślał o podpisaniu!

— Panie profesorze, czekamy na podpis! — szepnął sekretarz.

— Waćpan bo masz wiedzieć, że ja dwadzieścia lat już czekam, ażeby pedagogowie na posiedzeniach roztrząsali sprawy wychowania! Dwadzieścia lat straciłem na podpisywanie uchwał; ale dziś doczekałem się rozprawy i nie podpiszę uchwały!

Z temi słowy zażył tabaki, poczem odsunął papier. Sekretarz, niezrażony niepowodzeniem, zbliżył się do Zaworskiego, który właśnie prowadził cichą rozmowę z Świąteckim:

— Ha, ha, kolego!... Dyktatora nam w łeb ustrzelili! Alboż i ja nie mawiałem, że taka szkoła wygląda jak *ergastulum* rzymskie? W taki sposób można wychować jakiego barbarzyńcę Spartaka; ale za prawdę nie — Scypionów, Grakchów, Lukulów, Cezarów!... Pełna szkoła hebesów...

Lipicki zmiarkował odrazu nieprzychylność dla uchwały, obszedł Zaworskiego i przedstawił Świąteckiemu papier do podpisu. Hornblendą — wiadomo — zawsze pozwalał, aby mu kolki na łbie ciosano, a bał się jak ognia zatargów z władzą; to też teraz

był między młotem i kowadłem. Kręcił się, jednak poczciwe jego serce poszło za popędem koleżeństwa: ponieważ trzech przed nim nie podpisali uchwały, więc i on nie położył podpisu.

— Z dziećmi trzeba postępować pobłaźliwie, szlachetnie, łagodnie.

Następował jeszcze długi szereg nauczycieli, którzy opuścili swe miejsca, zaznaczając przez to niechęć do podpisu. Była to dla dyrektora bardzo gorzka pigułka do przełknięcia. Szymoński usiłował ją osłodzić i przemówił, dowodząc, że radę pedagogiczną ożywia to samo zacne pragnienie, które leży na sercu gorliwemu „mości panu przełożonemu“ i zachodzi jedynie mała różnica w poglądach na środki, nie na cele wychowania. Inspektor, w gruncie rzeczy zadowolony z upokorzenia zwierzchnika, nie mógł jednakże zrozumieć, jak śmieją pedagogowie tak zuchwale napadać na karę cielesną. On to uważał na czysto za niedorzeczność, dopuszczalną tylko jako sposób dokużenia dyrektorowi despotcie. Tak się skończyło posiedzenie nadzwyczajne, na którem uchwałę — zanim ona utknęła nieszczęśliwie na Rożewskim — podpisali jedynie dwaj pedagodzy: Świdrowski i Duszycki, nauczyciel polszczyzny, zwany przez uczniów „Chińczykiem“. Nasz pan dyrektor wcale nie był złym człowiekiem, usiłował tylko nadać życie ideałowi szkoły, który wcale nie odpowiadał wymaganiom czasu. Jako wzór zakładu wychowawczego przyświecała mu szkoła pijarska i sądził, że — aby ją ulepszyć idealnie — potrzeba wzmacniać karność wychowanców, kontrolę

nauczycieli, ścisłość stosowania się do przepisów, a reszty sam czas dokona. Wszelki objaw śmiałego postępowania na własną rękę bądź ze strony uczniów, bądź — nauczycieli — nastroczał mu myśl: „Jeszcze mało karności, mało kontroli, mało ścisłości!“ I tak sądząc, że idzie naprzód, cofał się nieustannie. Tymczasem zestarzał się, znałogował w postępowaniu, zeszytywniał w uporze, został owym krótkowidzem, który tylko siebie samego widzi i pragnie zawalić rwący potok życia martwym gruzem swoich przywidzeń. Każdy wstecznik już dlatego, że jest sobą, przyczynia się do zwiększenia siły prądu wyrotowego. Po owem zajściu na posiedzeniu rady pedagogicznej, dwaj pedagogowie wzięli do serca sprawę trzech zbiegów, a obaj w przekonaniu, że wpłyną na poprawę obyczajów i pilności. Najprzód pan inspektor, wobec rozdzielenia zdań, poczuwał się szczerze do obowiązku działania na własną rękę. Można udzielić napomnień, rad, przestróg ojcowskich, a swoją drogą dodać na wszelki wypadek „soczku brzoźwego“ — *qui bene amat, bene castigat*. Tylko nie można „wisusom“ puścić płazem przestępstwa głównego“. Przeprowadził takie rozumowanie, poczem kolejno wzywał winowajców, udzielał napomnień i karmił różgą. Zrobił to spokojnie, pocichu tak, że tylko skarceni wiedzieli, co ich spotkało, i wcale się z tego nie chełpili. Szymoński znowu, wychodząc z zasady, że niedosyć jest gardłować na posiedzeniach przeciwkarom cielesnym, postanowił moralnie oddziaływać na trzech zbiegów i wziął sobie to za punkt honoru, a nie szczędził czasu i pracy.

„Jak tu wpłynąć na młodzieńca, uczynić go dobrym, cnotliwym, pracowitym? Trzeba obudzić w jego duszy siłę, któraby go popychała nieprzeparcie w tych kierunkach. Cóż to jest za siła? Miłość cnoty, pracy, ludzi. A jak młodzieńca natchnąć tem uczuciem, od którego już zawisło całe wychowanie?

— Pedagog ma tak postępować, aby praca sprawiała wychowancomi najwyższe zadowolenie, aby cnota przedstawiała mu się wzniosłe piękną i ludziegodni kochania. Wychowanie więc jest to sztuka nie mająca nic a nic wspólnego z wyciskaniem dzieciom łez przez chłostę“.

Tak rozumował Szymoński, zabierając się szczerze do dzieła; ale niewiele dokazał, ponieważ oprócz niego jeszcze inni także wychowywali, a nie w myśl jego rozumowania. Jedni utrudniali niezmiernie pracę i wstręt do niej budzili w uczniach, postępowanie innych podawało cnotę w wątpliwość albo ją nawet ośmieszało, a jeszcze inni żadną miarą nie dawali się zaliczać do rzędu bliźnich godnych kochania. On sam, chociaż człowiek wielkiej zacności i nauczyciel doskonały, nie był wolny od wad szkodliwych dla wychowania: zrządził za wiele, nie umiał się miarkować, jeśli go zapal ogarnął. Dostyc powiedzieć, że przez nadmierny swój zapal dla sprawy hartowania ciała i—ćwiczeń fizycznych wpędził do grobu własnego synka. Krwawiło mu się potem serce, lzy nabiegały do oczu, ilokroć stanęło w myśli tak sławione przezeń „*mens sana in corpore sano*“. Tem szczerzej miłość zbolalego serca przelewał na dzieci swego społeczeństwa i zapytywał samego siebie:

„Czy zawsze „*mens sana*“ przebywa „*in corpore sano*?“ Podobno odpowiedź nie wypadła twierdząco i nieszczęśliwy ojciec gotów był przerzucić się w drugą ostateczność, jako wychowawca.

Więc jak ma postępować pedagog, ażeby praca dawała wychowawcowi zadowolenie, cnota przedstawiała się wzniosłe piękną, ludzie — godni kochania?

Powinien swą pracę zacząć od ludzi: ponieważ sam jest człowiekiem, przeto niechaj się uczyni zupełnie konkretnie godnym miłości! Ażeby się stał takim, musi on szczerze pokochać dzieci, uznać je w głębi swej duszy za godne jego miłości prawdziwej społeczeństwo ludzi przyszłych, które on kształci, rozwija podług wypielegnowanego we własnej duszy ideału. Tu się zawiązuje związek żywy, rzeczywisty: serce człowieka zaciętego zahacza — że tak powiem — o serca młode, naiwne, i ciągnie je za sobą z nieprzepartą siłą moralną. Wychowawcy muszą poszukiwać tego przyjaciela, lgnąć do niego, przegłądać nawskroś, odgadywać jego umysł i serce pełne skarbów, muszą się z nim wiązać przerozmaitemi złotymi nićmi, które właśnie stanowią wszystkie podwaliny szlachetnego dzieła wychowania. A on, pedagog, ojciec duchowy tych dzieci, nie powinien ich nigdy unikać; owszem, powinien z nimi przestawać, obcować jaknajchętniej, gdyż to właśnie ułatwia mu spełnienie zadania, przyświecania przykładem zarówno w spełnianiu obowiązków pracy, jak i — uczynków dobrych.

Z trzech naszych zbiegów, których Szymoński wziął pod swą opiekę gorliwą, tylko Stępowicz dostał

promocyę do klasy czwartej i już do skończenia szkoły uczył się jaknajlepiej. Leoś i Janek w trzy lata od owej pamiętnej imprezy opuścili klasę czwartą, aby się rzucić na pole życia; podczas gdy Wojtek ukończył klasę szóstą z patentem i marzył o uniwersytecie. Dzieje ich życia poza skrzydłami szkoły nie należą już do tego opowiadania, choć są dalszym ciągiem jego.

K O N I E C.

W ostatnim kwartale roku 1898, t. j. od 1 października do 31 grudnia, wyszły i rozesłane zostały prenumeratorom „Gazety Polskiej“ następujące dzieła jako bezpłatne dodatki tygodniowe:

- St. Kozłowski* „**Taboryci**”, dramat w pięciu aktach tom 1
- T. T. Jeża* „**W Zaraniu**“, powieść. tomów 3
- E. Goncourt'a* „**Bracia Zemganno**“ tom 1
- T. Padalicy* „**Powieści Ukrainkie**“ „ 1
- Edm. Rostand'a* „**Cyrano de Bergerac**“, komedia bohatera w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego tomów 2
- Ireny Mrózowickiej* „**W płytkim prądzie**“ tom 1
- Jonasa Lie* „**O Zachodzie**“, powieść norweska „ 1
- Klementyny z Tańskich Hofmanowej* „**Krystyna**“ tomów 2
- H. Andersen'a* „**Bajki i Opowiadania**“ tom 1

Nowi Prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ przybywający od Nowego Roku 1899 otrzymywać mogą komplet tych 13 tomów za rb. 3 z przesyłką pocztową i za rb. 2,40 w Warszawie.

W Roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

<i>Józefa Blizińskiego</i> „ Obrazki “	tom	1
<i>Artura Gruszeckiego</i> „ Szarańcza “ powieść na tle stosunków szląskich	tomów	3
<i>Juliusza Bretona</i> „ Artysta “ (Savarette)	tom	1
<i>Jana Lama</i> „ Wielki Świat Capowic “	tomów	2
„ Głowy do pozłoty “	tomów	4
<i>J. W. Goethe'go</i> „ Reineke-Lis “	tom	1
<i>Stanisława Pileckiego</i> „ Dwa głosy “	tom	1
<i>Maryi Konopnickiej</i> „ Pod prawem “ nowela.	tom	1
<i>Teofila Lenartowicza</i> „ Poezye “	tom	1
<i>Maryi Konopnickiej</i> „ Nowele “	tom	1

Nowo przybywający abonenci otrzymują niezwłocznie wszystkie te dodatki.



95920